



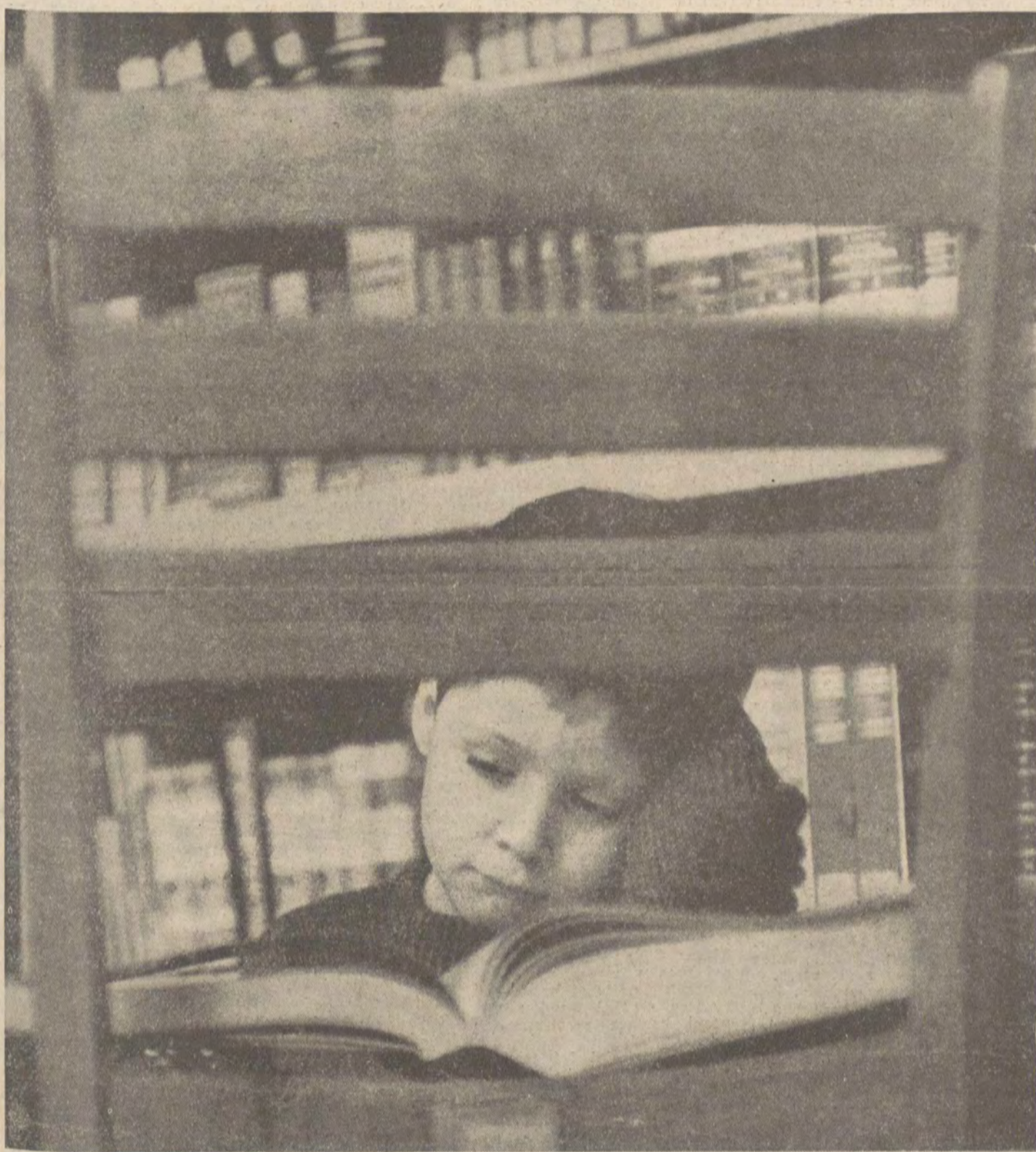
W numerze: MICHAŁ STRZELECKI *Olimpiada-business-polityka* • KAROL BADZIAK *Czarodzieje*  
 EWA NURCZYŃSKA *Z czym do Krakowa?* • *Czy kryzys uczuć?* • *W sieciach mafii*  
 • *Konkurs* • *Nowela kryminalna* •

# odgłosy



22 (706)  
 30. V. 1971 r.  
 Cena 1.50 zł

**TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK XIV**



BOGDA MADEJ

## EGZAMIN DOJRZAŁOŚCI

**W** tym roku właściwie nie powinniśmy interesować się maturami. Nowy regulamin, który dał uczniom ostatnich klas szkół średnich prawo wyboru: można zdawać egzamin dojrzałości, albo nie zdawać i poprzestać na zwyczajnym świadectwie ukończenia szkoły — uczynił z matur prywatną sprawę każdego z abiturientów. W tej sytuacji egzaminem dojrzałości były w tym roku nie tyle same matury, ile moment, w którym uczeń musiał podjąć decyzję. Decyzję ważącą ogromnie na jego przyszłym losie,

choć, być może, młody człowiek nie do końca sobie tę prawdę teraz uświadamia.

Moment niepokoju — okazał się dojrzałości czy nie — mamy już za sobą. W liceach ogólnokształcących z 2.404 uczniów dopuszczonych do matury, a więc posiadających już świadectwo ukończenia szkoły, nie przystąpiło do egzaminów tylko 21 osób. W technikumach i liceach zawodowych, z 2.400 dopuszczonych do egzaminów, zdawało 1895, to jest ponad 96 proc. uczniów.

I warto od razu przyrzeć się — bo to

interesujące — tegorocznym zgłoszeniom na studia wyższe. Chęć podjęcia nauki na uczelniach wyraziło 2.061 uczniów liceów, tj. około 83,4 proc., z tego 916 licealistów zgłosiło akces na studia uniwersyteckie, a 546 na politechniczne. Jak co roku z kierunków uniwersyteckich największym wzięciem cieszy się prawo, biologia oraz wszelkie kierunki humanistyczne z filologią polską na czele, i jak co roku znikoma jest ilość zgłoszeń na matematykę i fizykę.

Natomiast zdecydowanie zadziwili w tym roku uczniowie średnich szkół zawodowych, z których studia wyższe wybrało zaledwie 36,3 proc. ogółu. Ale za to jakże ciekawie prezentuje się wachlarz zainteresowań. Studia politechniczne wybrało, co prawda, 437 uczniów, ale na studia uniwersyteckie zgłosiło się aż 276. Oczywiście, najwięcej zgłoszeń dotyczy kierunków zgodnych z dotychczasową nauką, ale sporo osób wybrało sobie jako

FELIKS BĄBOL

## Rozważania nad przyszłością miasta

**P**unktem wyjścia rozważań jest rzeczywistość Łodzi. Spojrzeli na nią ostatnio fachowcy i specjaliści z Warszawy, Katowic i Krakowa. Przyjechali, by skonfrontować emocjonalne odczucia lokalnych patriotów z możliwie najbardziej obiektywnymi ocenami ludzi emocjonalnie z miastem nie związanych. Ta obiektywna ocena, spreycyzowana w raporcie dla partyjno-rządowej komisji, powołanej dla opracowania założeń rozbudowy i modernizacji Łodzi, wygląda najogólniej tak: zrobiono w Łodzi po wojnie wiele, ale zrobiono nie najlepiej.

A więc słabsza niż w innych rejonach kraju rozbudowa w dziedzinie mieszkaniowej i przemysłowej, więc wzrastające dysproporcje między przebudową śródmieścia, a budową peryferyjnych osiedli. Dość zilustrować to takimi faktami: po 1945 roku z ogólnej ilości nowo wzniesionych domów mieszkalnych, aż 95 proc. przypadło na osiedla na obrzeżach miasta, a tylko 5 proc. — w centrum. Stąd powszechny pogląd, że centrum wcale się nie zmienia, a śródmieście tylko się wykrusza, dając miejsce pod „plombowce”, rażąc kontrastami stylów, brakiem koncepcji. W rezultacie co większe miasta nowocześnie przeobraziły swe centra administracyjne i usługowe, a w Łodzi nadal razi pofabrykancka secesja bez uroku.

Pamiętamy zresztą: Ważne Osoby spoza Łodzi obwożono zawsze po Zubardziu, Teofilowie, Rokiciu i Dołach. Bo w śródmieściu nie było czym się pochwalić. Owa hipertrofia rozbudowy dzielnic peryferyjnych, w stosunku do prac nad modernizacją śródmieścia Łodzi, dziwi obecnie urbanistów i architektów, którzy w praktyce i planowaniu budownictwa w poprzednim okresie dopatrują się wyraźnego postawienia sprawy „na głowie”. Zamiast nakreślić koncepcję rozbudowy miasta w oparciu o jego podstawowe funkcje, kreślono je w oparciu o przypadkowo posiadaną lokalizację. Dlatego Teofilów, jak twierdzą architekci, jest dziś osiedlem kilka razy większym, niż

Dalszy ciąg na str. 3

Dalszy ciąg na str. 4



Jeszcze nie przebrzmiały echa wewnętrznych wydarzeń w ZRA — nadal bardzo uważnie analizuje się zmiany w składzie rządu, reorganizację Socjalistycznego Związku Arabskiego i kolejne przemówienie prezydenta Sadata — a już na czoło wysunęło się nowe wydarzenie. Jest nim ogłoszona równocześnie w Moskwie i Waszyngtonie informacja o uzgodnieniu przez ZSRR i USA kierunku rozmów w sprawie ograniczenia zbrojeń strategicznych. Z informacji tej wynikają priorytetowe tematy dalszych dwustronnych rokowań.

Zachowajmy jednak kolejność i najpierw zatrzymajmy uwagę czytelników na wspomnianym przemówieniu szefa państwa ZRA. Na ile ostatnich wydarzeń nakreślił on zasady polityki zagranicznej i wewnętrznej nowego rządu. Zwraca uwagę na to, że w tym fragmencie wystąpienia, w którym Sadat mówi o konflikcie bliskowschodnim. Podkreślając, że ZRA uczyniła już wszystko aby doprowadzić do zakończenia kryzysu, co zmuszony był przyznać Rogers, prezydent uważał rząd USA do wywarcia presji na Izrael, by ten podporządkował się rezolucji Rady Bezpieczeństwa. Tylko wycofanie się okupanta z ziemi egipskiej może uratować kraje przed nową wojną na Bliskim Wschodzie.

Sadat powtórzył równocześnie swe propozycje w sprawie otwarcia Kanału Sueskiego, co mogłoby być pierwszym etapem realizacji wspomnianej rezolucji. Zastrzegł jednak, że odblokowanie Kanału nie może być problemem odrębnym, lecz ściśle związanym z wycofaniem wojsk izraelskich.

Przypominając, iż ZSRR bez żadnych warunków w najtrudniejszych chwilach popierała ZRA w płaszczyźnie politycznej, ekonomicznej i wojskowej, Francja zaś niejednokrotnie opowiadała się za sprawnym rozstrzygnięciem konfliktu, Sadat nawoływał rząd Stanów Zjednoczonych, aby jasno, „otwarcie i szczerze” sprecyzował swe stanowisko.

— Stany Zjednoczone pisze na ten temat AFP — przyparte zostały do muru. Nixon i Rogers muszą podjąć decyzję, ponieważ „piletka jest na ich boisku”. Teraz dopiero będzie można prawdziwie ocenić podróż Rogersa.

Z widocznym zdenerwowaniem zareagowali przywódcy izraelscy. Próbowali oni przekonać opinię publiczną, że Egipt usztywnił swoje stanowisko. Przyczyną zaś tego dopatrują się w... „przesadnym optymizmie amerykańskim”. Wyrażony przez ZRA ekstremizm jest, zdaniem wicepremiera Allona przeznaczony na użytek wewnętrzny Egiptu, a także dla wzmocnienia pozycji przetargowych w Waszyngtonie. Izrael ma nadzieję, że „strona trzecia” (aluzja do Stanów Zjednoczonych) nie obieca Egiptowi niczego, na co Tel Awiw nie mógłby się zgodzić.

Choć wydarzenia bliskowschodnie zaczęły się znów toczyć wartkim nurtem — jak już się rzekło — nie one były w minionym tygodniu eksponowane jako pierwszoplanowe. To miejsce zajęły rozmowy SALT.

Obserwatorów i komentatorów ogarnął optymizm, czasem przesadny. W gruncie rzeczy dwustronne uzgodnienie radziecko-amerykańskie jest deklaracją intencji, a od takiej do konkretnych porozumień droga jeszcze daleka. Podkreślaliśmy to, aby nie było niecierpliwych oczekiwań i złudzeń, że teraz już rokowania potoczą się bez przeszkód.

Uzgodnione oświadczenie wykazuje, że czas, jaki wypełniają rozmowy toczące się na zmianę w Helsinkach i Wiedniu<sup>\*)</sup>, nie został zmarnowany. Zdecydowano się iść drogą ograniczenia zbrojeń strategicznych — w pierwszej kolejności dążąc do porozumienia na temat ograniczenia systemów obrony przeciurakietowej. Wartość uzgodnień polega przede wszystkim na tym że obie strony porozumiały się co do rodzajów broni, jakie mają być objęte przyszłym układem. Wobec ich mnogości i różnic terminologicznych jest to niewątpliwie postęp. Uczyniony krok naprzód może mieć znaczenie dla ogólnego klimatu i stosunków między obu supermocarstwami. Atmosfera zaś dobrej woli może przyczynić się do rozwiązania również innych problemów a zwłaszcza bezpieczeństwa europejskiego. Nadzieje wiąże się z wzajemną redukcją wojsk na naszym kontynencie. Co do samych rozmów SALT oczekuje się znów ich przeniesienia do Helsinek, gdzie dyskutowano by już nie o przedmiocie rozmów, lecz o treści porozumienia. Jeśli Waszyngton kierować się będzie w nich nie względami taktycznymi — wewnętrznymi lub międzynarodowymi — a rzeczywistą chęcią ograniczenia zbrojeń strategicznych, postęp może nastąpić stosunkowo szybko i przybrać formę konkretnego układu. Ze strony ZSRR taka gotowość potwierdzona została ostatnio dwukrotnie — na XXIV Zjeździe KPZR i w przemówieniu Leonida Breżniewa, wygłoszonym w Tbilisi.

Innym wydarzeniem tygodnia są paryskie rozmowy brytyjskiego premiera Heatha z prezydentem Pompidou. Komentując je niektóre dzienniki zaznaczają, iż W. Brytania może już siebie uznać za członka EWG. Czy naprawdę?

W. SŁAWSKI

<sup>\*)</sup> HELSINKI: listopad — grudzień 1969 oraz listopad — grudzień 1970, WIEDEŃ: kwiecień — sierpień 1970 oraz marzec 1971 (do chwili obecnej)

## Zewsząd o wszystkim

### W sieciach mafii

„EPOCA” — MEDIOLAN

Kiedy ruszaliśmy w drogę do Palermo pewien sycylijski dziennikarz poradził nam: „Jeśli chcecie pokazać, gdzie rządzi mafia, musicie przede wszystkim zrobić zdjęcie z bliska pałacu parlamentu sycylijskiego, i pałacu Orlego (siedziba władz miejskich Palermo). Nie możecie pominąć ani jednego urzędu okręgowego, a wśród nich także i Pałacu Sprawiedliwości. Nie zapomnijcie włączyć do swych planów złożenia wizyty w cieleszającym się złą sławą więzieniu miejskim — symbolu „mocy prawa”, gdzie więźniowie znajdują się pod całkowitą kontrolą mafii...”

Jeśli w czasie naszego reporterskiego wojażu nie skorzystaliśmy ze wszystkich tych rad, nie oznacza to wcale, iż nie zgodzamy się z opinią naszego sycylijskiego kolegi.

Czym jest mafia anno 1970-71? Jest to cały system organizacyjny przestępczych, którym udało się zagnieździć w wielu instytucjach i głęboko zapuścić korzenie w państwowej strukturze władzy. Nigdy jeszcze nie miała mafia tak ściśle tajnych powiązań z siłami politycznymi, jak teraz, kiedy działające z osobną partią w pogoni za głosami wyborców, nie gardzą poparciem nawet elementów przestępczych.

W parlamencie sycylijskim, w urzędzie do spraw reformy prowincji, czy też we władzach miejskich Palermo mafia woli działać drogą nacisków pośrednich. Tutaj zasiadają jej wspólnicy, którzy forsują decyzje wygodne dla mafii i kamouflują jej cienne operacje, sprowadzając do zera działalność aparatu ścigania. Za to całkiem otwarcie działa mafia na rynkach hurtowych na budowach, w kamieniołomach.

Ostatnio nie mało pisano, z jaką pobłażliwością patrzy na działalność mafii polityczne koła Sycylii. Specjalna komisja parlamentarna do badania przestępczej działalności mafii postanowiła podać do publicznej wiadomości niektóre stwierdzone fakty. Jednak mało kto wierzy, żeby rządzące partie zgodziły się wyciągać swe brudy na światło dzienne. Oto wyznanie, które usłyszeliśmy z ust pewnego urzędnika na wysokim stanowisku: „Władze już dziś rozporządzają wystarczającym materiałem, żeby osadzić w więzieniu dziesięciu, piętnastu posłów z parlamentu, nie mówiąc już o członkach rady prowincjonalnej oraz członkach rady municypalnej. Jednakże sieć, omotująca wszystkich i wszystkie przeskadzają im w podjęciu rozstrzygających decyzji”.

Byłoby dużym uproszczeniem ograniczać się wyłącznie do elementów sensacyjnych. Należy sięgnąć głębiej. Oto we wszystkich miejscowych organizacjach i instytucjach, w których na przestrzeni długich lat mafia ulokowała swoich oblatujących „rezydentów”, wytworzyła się sytuacja nader złożona i napięta. Wszak nie jest przypadkiem, że w instytucjach tych siedzą na różnych stanowiskach ludzie, pochodzący z reguły z Castellammare — del Golfo, które przez wiele lat było centrum handlu narkotykami, albo z Mussomeli, skąd pochodził ostatni uznany przywódca mafii, Giuseppe Russo, dożywający swych lat na wygnaniu w północnych Włoszech. Bardzo często ci właśnie urzędnicy

bezpośrednio decydują o zawarciu intratnego kontraktu na prace budowlane, czy też nawodnienie pól uprawnych. Co rusz to występują jako „poufni „pośrednicy” między mafia a władzami państwowymi, proponując im w zamian za pomoc znajdującemu się w tarapatkach „koledze” o tyśiąc głosów więcej w wyborach, albo rozkoszne mieszkanie po „przystępnej” cenie, czy wręcz milczenie w jakiejś niezbyt czystej sprawie. Znakomitych informacji mogłaby jej pozazdrościć niejedna służba wywiadowcza. Nieraz ucieka się ona do szantażu, wiedząc, iż wśród działaczy politycznych znajduje się niemało ludzi, którzy w przeszłości mocno nadzarząpili swoją reputację.

Z drugiej strony przedstawiciele władz, organów śledczych, sądownictwa i in., słowem ci wszyscy, którzy by chcieli prowadzić walkę z mafia, znajdują się w bardzo trudnej sytuacji. Ustawicznie natrafiają na nieprzewidziane przeszkody, ale przede wszystkim nie odczuwają ani pełnego poparcia, ani też nie mają widoków na pomoc i obronę ze strony władz państwowych. Co więcej, jeśli nie zajmują wysokich stanowisk, są po prostu narażeni na fizyczny odwet mafii.

Na Sycylii krąży powiedzonko: „policja aresztuje, sąd uniewinnia, a mafia wykonuje wyrok śmierci”. Niedawno wielkie procesy w Bari i Catanzaro, na których z powodu braku bezpośrednich poszlak wydano wiele uniewinniających wyroków, jeszcze bardziej pogorszyły i tak już trudną sytuację pracowników wymiaru sprawiedliwości. Na wolności znaleźli się właśnie ci przestępcy, ogarnięci żądzą zemsty, którzy już od dawna należało izolować od społeczeństwa.

Charakterystyczny przykład: historia Luciano Ligio, najbardziej typowego przedstawiciela nowego pokolenia mafii. Bajecznie wzbogacony na handlu narkotykami, spekulacjach i dostawach materiałów budowlanych, mając na swym koncie wiele ciężkich przestępstw, w tym także zabójstw, Ligio — dzięki usilnej pomocy wysoko postawionych protektorów — ukrywa się już drugi rok przed karzącą ręką sprawiedliwości.

O ile dziesięć lat temu mafia działała przede wszystkim w rejonach wiejskich, o tyle teraz gruntownie zmieniła „strefę operacyjną”. Trudno dziś znaleźć na Sycylii przedsiębiorstwa przemysłowe czy budowlane, do których nie sięgałyby długie macki bandy. Wystarczy, żeby administracja jakiegось przedsiębiorstwa nie spełniła jej zadań, a już zaczynają się pożary składów, okradanie magazynów, „trudności” w dostawach surowca itp.

Policja nie jest w stanie zabezpieczyć obywateli przed szantażem, uchronić od strachu i gwałtu.

„Geografia” działalności mafii stale się zmienia. Na przestrzeni blisko ćwierćwiecza, kiedy na jej czele stał Calogero Vignini, wszystkie nieci przestępczych organizacji wyspy schodziły się w niewielkim miasteczku Villalba, na granicy prowincji Palermo i Caltanissetta. Kiedy ster władzy przeszedł w ręce Giuseppe Giaco Russo, centrum mafii przeniosło się o dwadzieścia kilometrów na południe,

do miasteczka Mussomeli. Obecnie ogólnie uznana siedziba sztabu mafii stała się stolica wyspy — Palermo.

Ale w ciągu ostatnich lat i sama mafia zmieniła skórę. Nie jest to już jednolita organizacja hierarchiczna, podporządkowana jednemu przywódcy. Istnieje wiele niezależnych band, działających na własną rękę. Natomiast ściśle związki istnieją między bandami, zajmującymi kluczowe pozycje w gospodarczo-ekonomicznym życiu wyspy. Stale wymieniają ważne dla nich informacje, a co najważniejsze — obowiązują je zbiorowa odpowiedzialność. W pewnym sensie, mafia sycylijska wzorca lat 1970-71, bardziej dziś przypomina swego amerykańskiego pobratymca „Cosa Nostra”, niż tradycyjną mafię sprzed lat dwudziestu. Zmieniła się też jej struktura organizacyjna, metody działalności przestępczej i uzbrojenie. Zmienił się też zasadniczo i zewnętrzny wygląd „dobranego towarzystwa”, jak się tutaj mafię powszechnie nazywa.

Mimo woli nasuwa się porównanie tej zbrodniczej organizacji z jej zoocenicznym odpowiednikiem, kiedy się słyszy o wprost niewiarogodnych umiejętnościach mafii w wyciskaniu pienię-

ży od każdego i w każdym miejscu. Zawsze pojawia się ona tam, gdzie można zgarnąć grube zyski. Gospodarstwo wiejskie, przemysł, handel, budownictwo, gastronomia, hotele — zewsząd potrafi ona wycisnąć ogromny haracz. Ostatnimi laty, kiedy emigracja Sycylijszczyków do północnych rejonów Włoch, do NRF i Szwajcarii nasiliła się szczególnie, mafia coraz to częściej wychodzi poza granice wyspy.

W końcu 1963 roku, przez cały kraj przetoczyła się wielka fala ogólnonarodowego oburzenia, wywołanego szczególnie okrutną rozprawą mafii z ludnością miasteczka Chiaculli. Rozpoczęła się seria aresztowań i już wydawało się, że „dobrane towarzystwo” dożywa swoich ostatnich godzin. Ale znów ostatnie krwawe wydarzenia, jak rzeź, której dokonała w Palermo, nowe zabójstwa, porwanie dziennikarza de Mauro (pszącemu demaskatorskie artykuły o mafii — red.), ostatnio zabójstwo prokuratora Pietro Scaglione oraz wiele innych przestępstw, świadcza, iż podczas, gdy komisja parlamentarna spokojnie kontynuowała swoje dochodzenie, mafia zdążyła się przestroić do „pracy” w nowych warunkach.

## Z tygodnia

**NRF.** W Niemieckiej Republice Federalnej odbyło się posiedzenie gabinetu ministrów, na którym rozważano „niektóre wyniki wschodniej polityki rządu”. Na wstępie, w odpowiedzi na prowokacyjne wypowiedzi R. Barzela, przedstawiciela parlamentarnej frakcji chrześcijańskich demokratów (CDU), iż układ między ZSRR i NRF „wcale nie umacnia pokoju, lecz hegemonizuje Związek Radziecki”, zabrał głos minister spraw zagranicznych NRF — Scheel. Powiedział on: „Czas najwyższy, by partia ta zdecydowała się wreszcie, czy wspólnie z innymi partiami chce iść drogą osłabienia napięcia w Europie, czy też nie. Jeśli nie chce tego zrobić, to i tak wydarzenia odsuną ją na margines”.

**ANGLIA.** Po dłuższej przerwie wznowił pracę parlament brytyjski. Niektóre punkty porządku dziennego wywołały burzliwą dyskusję. Wyszło na jaw, że Wielka Brytania zawarła tajną umowę z rasistowskim rządem południowej Afryki w sprawie dostaw broni. Na interpelację posłów w tej sprawie, liderzy konserwatystów nie mogli dać wyczerpującej odpowiedzi.

Największą sensacją stała się opublikowana zaraz na początku sesji parlamentu informacja o liczbie bezrobotnych na Wyspach Brytyjskich: 314.189 osób. Jest to rekordowa ilość na przestrzeni ostatnich trzydziestu lat. „Świadczy ona — powiedziała przedstawicielka opozycji, Barbara Kassel — że rząd nie wypełnił swoich obietnic przedwyborczych oraz, że polityka ekonomiczna rządu poniosła całkowitą klęskę”.

**GRECJA.** Junta „czarnych pułkowników” w Grecji obchodziła czwartą rocznicę przewrotu wojskowego z 21 kwietnia 1967 roku. Obawiając się wystąpienia antydyktatorskich, junta nie zdecydowała się na zorganizowanie „masowego święta”.

W związku z tym „L'Humanite” pisze, iż „w ciągu czterech lat rządów „czarnych pułkowników” ani jedno z ugrupowań politycznych w kraju nie przyłączyło się do junty”. Gazeta przypomina, że „Junta jest tworem NATO i amerykańskiej soldateski. Tylko na początku bieżącego roku, u brzegu Grecji stały na kotwicy aż 32 amerykańskie okręty wojenne. W tych dniach przebywał w Atenach, z oficjalną wizytą, minister handlu USA”.

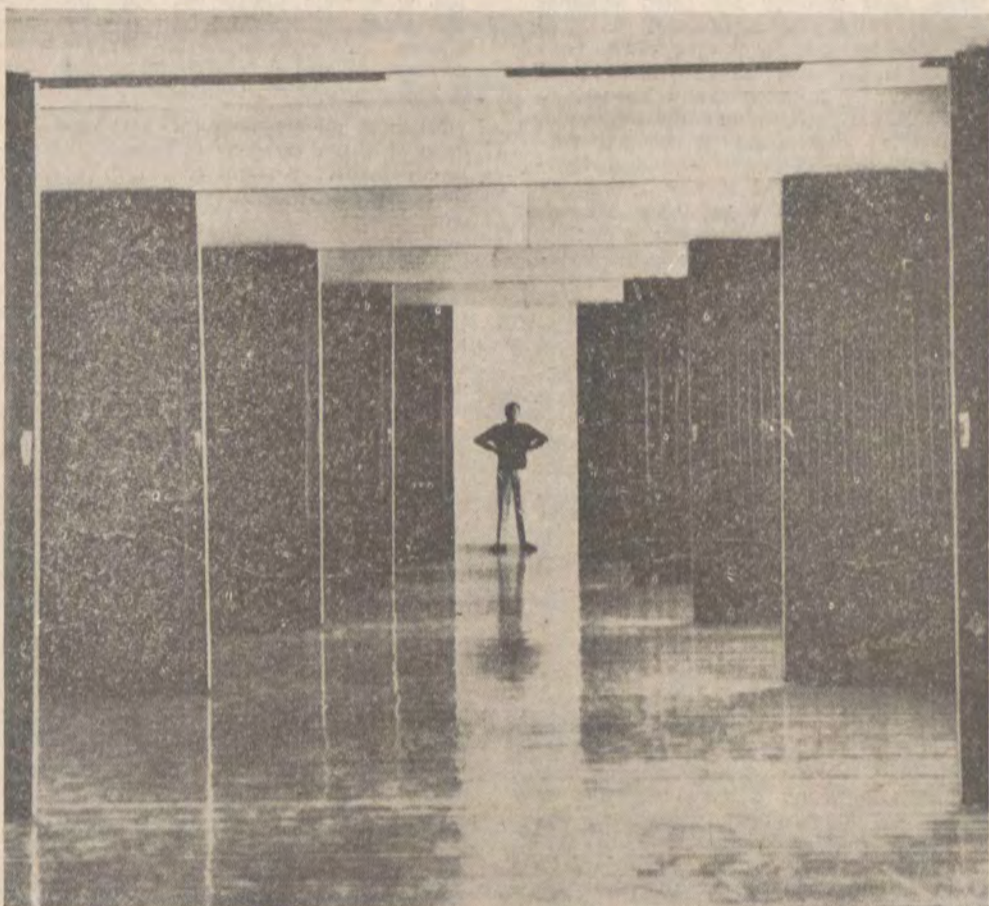
**FRANCJA.** Na Francuskim Zgromadzeniu Narodowym premier Chaban-Delmas złożył oświadczenie, w którym przedstawił wyniki działalności rządu, dotyczące przede wszystkim zagadnień ekonomicznego rozwoju kraju. Komentując to oświadczenie, zastępca generalnego sekretarza Francuskiej Partii Komunistycznej — Marchais, w swoim wystąpieniu na plenum FPK podkreślił: „Idylliczny obraz, który nakreślił premier nie ma nic wspólnego z rzeczywistością. Znaczna większość Francuzów z dużym trudem wiąże koniec z końcem. Ceny rosną w rekordowym tempie, 500 tysięcy bezrobotnych, wśród których duża część stanowi młodzież, nieustannie poszukuje pracy”.

**DANIA.** Władze duńskie ustaliły niebezpieczny stopień zanieczyszczenia Morza Północnego i cieśniny Kattegat odpadami przemysłowymi. W związku z tym gazeta „Berlingske Tidende” pisze, iż jedna z brytyjskich firm „specjalizuje się” w wyrzucaniu do morza groźnych dla środowiska odpadów chemicznych. Z informacji wynika, iż wspomniana firma wybudowała na chodźła czwartą rocznicę przewrotu wojskowego z 21 kwietnia 1967 roku. Obawiając się wystąpienia antydyktatorskich, junta nie zdecydowała się na zorganizowanie „masowego święta”.

### W następnym numerze „ODGŁOSÓW”

- ★ W. KARCZEWSKA — Korona
- ★ K. BADZIAK — Artysta wśród artystów
- ★ B. GRZEŁOŃSKI — Polscy Jankesi

oraz recenzje, felietony, nowela kryminalna



Dalszy ciąg ze str. 1

kierunek studiów: historię, filologię polską, niektórzy marzą o archeologii, filologii orientальной lub historii sztuki. Ze szkół technicznych na fizykę wybierają się, co prawda, tylko dwie osoby, ale za to na prawo 18, na... studia aktorskie — 51, a na studia muzyczne... 56 uczniów.

Wniosek z tych liczb jest prosty, wielu dzisiejszych maturzystów wybierając się na studia, niezgodnie z dotychczasowym kierunkiem nauki, w jakimś wcześniejszym momencie życia pomyliło się. Zródłem tych pomyłek należy szukać chyba w momencie wyboru szkoły średniej, a sama matura pomogła tylko w ich ujawnieniu. I nie jest to już prywatna sprawa panny X, że wybiera się na filologię polską, bo tam się łatwiej dostać, albo pana Z — dyplomowanego technika, który chce kształcić swoje zdolności muzyczne. Bo w konsekwencji panna X powiększy grono filologów, z którymi nie wiadomo co zrobić, a pan Z, zamiast uczyć się muzyki w szkole średniej, blokuje miejsce w szkole technicznej. Podobnie, pozornie tylko prywatną sprawą jest wygodny przede wszystkim dla słabszych uczniów następujący paragraf nowego regulaminu maturalnego:

„Uczniowie szkół średnich, ubiegający się o złożenie egzaminu dojrzałości, są obowiązani zgłosić szkole po zakomunikowaniu im decyzji rady pedagogicznej o ukończeniu klasy programowo najwyższej — przystąpienie do egzaminu.

• \* •

Paragraf ten w gruncie rzeczy podzielił nam ludzi ze średnim wykształceniem na grupę „lepszą” — tę ze świadectwem maturalnym i — co by się nie mówiło — „gorszą”, tę ze zwyczajnym świadectwem.

Absolwent szkoły średniej, który wybrał dziś kuszącą możliwość omińnięcia maturalnego trudu, może za kilka lat dość do wniosku, że była to decyzja niedojrzała, że po prostu się pomylił. Może się przecież zdarzyć, że studia wyższe, o których przedtem nie myślał, nagle sta-

tego na rzecz matury z taryfą ulgową, aby obecnie, w drodze kolejnego eksperymentu odejść od potrzeby powtórzenia i utrwalenia całości materiału jako warunku ukończenia szkoły średniej. Okazuje się bowiem, że absolwent technikum, rezygnujący z przystąpienia do egzaminu maturalnego, może przystąpić do pracy zawodowej z równym powodzeniem jak ten, który świadectwo maturalne otrzymał. Nowy typ matury nie jest więc już progiem kończącym naukę w szkole średniej, a raczej pierwszą selekcją przy próbie przejścia do szkoły wyższej. Stąd zaostrzone wymagania zarówno przy dopuszczeniu do matury, jak i podczas samego egzaminu. Wprowadzono trzeci egzamin pisemny i ustny z wybranego przez ucznia przedmiotu. Maturzyści — w zależności od typu szkoły — mogli więc wybrać fizykę, biologię, geografę, chemię, ekonomię polityczną, pedagogikę lub egzamin z wiedzy o Polsce i świecie współczesnym. Wybierali te przedmioty, które miały im się przydać przy egzaminie wstępnym na wyższe uczelnie, lub które, po prostu, najlepiej opanowali. Trzeci przedmiot wprowadził jednak w szkołach zawodowych pewne zamieszanie, ponieważ taki sam temat np. z fizyki przygotowano zarówno dla szkoły, w której przedmiot ten dominował, jak i dla szkoły, w której program przewidywał nań mniejszą ilość godzin. Skoro więc zdecydowano się na wprowadzenie trzeciego egzaminu pisemnego, należało zróżnicować tematy.

Dyskusyjna jest również decyzja o wprowadzeniu pisemnego egzaminu z przedmiotów, co do których istniały na-

obniżenie poziomu. Być może zabieg ten był konieczny, ponieważ w wypadku ostrej selekcji maturalnej mogłoby się zrobić zbyt luźno przed wrotami wyższych uczelni, a pierwsze wyniki egzaminów pisemnych (w niektórych liceach pisemny oblało 9 proc. zdających, w niektórych technikach procent ten jest jeszcze wyższy) zdają się tęzę tę potwierdzać.

W dalszym ciągu pozostaliśmy więc przy dwu prawie identycznych egzaminach, które kandydat na wyższą uczelnię musi złożyć w niewielkim odstępie czasu. I chyba w przyszłości trzeba się będzie zdecydować, czy wprowadzić rzeczywiście ostro, kwalifikujący intelektualną przydatność przyszłego studenta, egzamin maturalny, dający w konsekwencji wolny wstęp na wyższą uczelnię, czy utrzymać egzamin wstępny przy jednoczesnej zmianie koncepcji matury. W tej drugiej wersji matura powinna jednak być warunkiem zakończenia pewnego etapu nauki. W naszym systemie społeczno-gospodarczym należy wybrać taką wersję, która umożliwiałaby prowadzenie planowej polityki przygotowywania kadry specjalistycznej.

• \* •

Nowa matura zakończyła trwającą od lat reformę szkoły ogólnokształcącej i podstawowej. Oczywiście, za wcześnie na pełną ocenę tej reformy, ale już dziś pedagogowie sygnalizują o występujących nieprawidłowościach. Jedną z nich są zajęcia fakultatywne w ostatnich klasach liceów ogólnokształcących. Zajęcia te pomysłane były jako możliwość rozszerzenia wiedzy w wybranej przez ucznia dziedzinie, możliwość która znowu powinna pomóc w przygotowywaniu do studiów wyższych. Wprowadzono je jednak dopiero w ostatniej klasie, a przecież oczywisty jest fakt, że ukierunkowane zdolności ucznia ujawniają się znacznie wcześniej. Jest to jeszcze jeden przykład niekonsekwencji i braku sprecyzowanego poglądu na to, czym w naszym systemie oświaty jest szkoła ogólnokształcąca. Wiadomo, że nie przygotowuje do żadnego zawodu, na dobrą sprawę nawet nie powinna upoważniać do pracy w nowoczesnej administracji, a fakt powołania technicznych szkół pomaturalnych utwierdza tylko w przekonaniu o potrzebie ustalenia ostatecznej jej koncepcji.

Przedłużenie nauki w szkole podstawowej do ośmiu lat powinno już pozwolić na ujawnienie zainteresowań i uzdolnień, które konsekwentnie realizowane powinny być właśnie w szkole średniej. Tymczasem u nas więcej czasu i energii poświęca się na eksperymentowanie z maturami, niż na opracowanie metody ułatwiającej podjęcie decyzji o przyszłym kierunku nauki po ukończeniu szkoły podstawowej. Potrzebna tu jest pomoc i pedagoga i psychologa, pomoc, która zapobiegłaby późniejszemu życiowemu niepowodzeniom i pomyłkom typu: technik na studiach muzycznych.

I dlatego powinniśmy mniejszą wagę przykładając do samych egzaminów maturalnych, a większą do takiej reformy szkoły średniej, która umożliwiłaby właściwy rozwój ujawnionych wcześniej zainteresowań i zdolności. Jeśli rzeczywiście szkoła ogólnokształcąca ma przygotowywać do studiów wyższych, bądź, po pewnym przeszkoleniu, do zawodu, to musi brać pod uwagę naturalne predyspozycje i zamiłowania uczniów. Świadomość celów i metod kształcenia, jakie obserwuje się w szkołach zawodowych, wychodzą im zdecydowanie na korzyść. Natomiast „w ogólniaku” w dalszym ciągu uczymy wszystkiego po trochu. Nie wiem, czy większego pożytku nie przyniosłaby rezygnacja z pewnych partii wiadomości i informacji na korzyść doskonalenia ujawnionych zdolności. Chyba jednak tak.

BOGDA MADEJ

## EGZAMIN DOJRZAŁOŚCI

na się realne. Przeszkodą jednak będzie brak maturalnego świadectwa.

Wprawdzie łódzcy maturzyści okazali się w swojej większości rozsądni, ale nie ma przecież gwarancji, że tak samo będzie w latach przyszłych. Gorzej jednak było już na przykład w województwie łódzkim, gdzie w liceach do matury przystąpiło tylko 92,8 proc. uczniów, a w szkołach zawodowych tylko około 85 proc.

A rozsądek maturzystów to nie tylko ich prywatna sprawa. Zarówno w przemyśle łódzkim, jak i w ośrodkach przemysłowych innych rejonów kraju, brakuje wysoko kwalifikowanych specjalistów. Przede wszystkim inżynierów, ale też matematyków i fizyków. Po to, żeby ten deficyt zmniejszyć, powołano w swoim czasie studia wieczorowe dla pracujących i studia zaoczne, po to otwiera się nowe filie wyższych uczelni. Nie oszukujmy się. Typ matury, jaki zaprezentowano w tym roku, poprzez swoją dowolność jest w założeniu sprzeczny z tą tendencją.

• \* •

W swojej dawnej koncepcji matura była generalną powtórką materiału, zakończoną egzaminem sprawdzającym stopień jego opanowania. Później zrezygnowano z

wet metodyczne zalecenia, aby nie robić z nich prac pisemnych. Takim „niepisemnym” przedmiotem są na pewno wiadomości o Polsce i świecie współczesnym, a i chyba, na przykład, geografia. Skoro kazano już pisać, to czemu pominięto w egzaminacyjnym zestawie język obcy, który przecież także jest wymagany przy egzaminie wstępnym na studia, a i napisać też by się jakoś dało.

• \* •

Tegoroczna matura w swojej pierwotnej koncepcji miała być ostrą selekcją przyszłych kandydatów na wyższe studia. Ale przy realizowaniu regulaminu zabrakło konsekwencji, a potwierdziły to choćby tematy prac pisemnych. Były stosunkowo proste, przygotowane, jak się powszechnie stwierdza, dla uczniów o poziomie dostatecznym. Więcej nawet: tematy z języka polskiego dla uczniów szkół zawodowych wymagały większej inwencji oraz umiejętności analitycznej i syntetycznego myślenia, niż tematy w szkołach ogólnokształcących, gdzie wystarczała umiejętność posługiwania się przykładami dla zilustrowania gotowych tez, jakie zawierały tematy. Było to więc świadome

### Dni Oświaty, Książki i Prasy Konkurs Literacki

Publikujemy dziś ostatnie zadanie w trwającym przez cały maj konkursie. Nie odstępujemy w nim od zasad znanych Czytelnikom z poprzednich konkursów. Odpowiedzi — na kartach pocztowych — można nadsyłać na wszystkie zadania konkursowe, można też rozwiązać jedno z nich. Losowanie nagród odbędzie się po zakończeniu konkursu. Ci, którzy odpowiedzą na wszystkie pytania i nadesłają trafne odpowiedzi, automatycznie zwiększą swe szanse w losowaniu.

Organizatorzy konkursu: Wydział Kultury Rady Narodowej m. Łodzi, Wydział Kultury Wojewódzkiej Rady Narodowej w Łodzi, Wydawnictwo Łódzkie, PP „Dom Książki” i Redakcja „Odgłosów”. Dla zwycięzców konkursu przygotowano nagrody:

◆ Dwa komplety po 15 płyt. A. Mickiewicz „Pan Tadeusz” — po 700 zł

- ◆ Dwie reprodukcje malarstwa (L. Wyczółkowski — „Orka”) — po zł 400.—
- ◆ Pięć egzemplarzy Małej Encyklopedii Powszechnej PWN — po zł 250.—
- ◆ Dziesięć albumów fotograficznych pt. „Łódź”, WL — po zł 250.—
- ◆ Dwadzieścia bonów książkowych po zł 100.—

Odbierać je będą nasi Czytelnicy w pięknej, nowoczesnej księgarni „Domu Książki” przy ul. Piotrkowskiej, która w tych dniach została otwarta.

#### ZADANIE KONKURSOWE NR 4

Poniżej cytujemy fragmenty książek HONORATY CHRÓSCIELEWSKIEJ, LEONA GOMOLICKIEGO I WIESŁAWA JAŻDZYŃSKIEGO. Na podstawie tych fragmentów należy rozszyfrować tytuły książek. Rozwiązanie (nazwisko autora i tytuł) wpisane na kart-

ce pocztowej prosimy nadsyłać na adres: Łódź, Piotrkowska 96, Tyg. „Odgłosy” — „Konkurs literacki”.

1.

„I już widziałem nasze wspólne życie — z Julią — osnute na ufności i utrwalone, scementowane przez zbawienne zmartwienia na co dzień. Julia miała być jedynym celem, w którym skupiłoby się życie, tj. wszystkie czasy, wszystkie moje czasy”.

2.

„Na Bałuckim Rynku wsiadaliśmy do tramwaju. Mamy dobrze, nie musimy płacić za tramwaj. Mamusia i Ala mają bilety z fotografiami, ja nie potrzebuję, bo wszyscy widzą, że jestem mamusią córką”.

3.

„Ten pan po czterdziestce przylapany jest w momencie refleksji, zadumany nad swoim dotychczasowym życiem, ten pan — jak mi się zdaje — podejmie próbę ocalenia swojej młodości, to znaczy, że nie wolno mu mówić o życiu między prawdą a chlebem, lecz trzeba zawsze podążać ku nowym przygodom”.



Fot. G. Puciato

# Rozważania nad przyszłością miasta

Dalszy ciąg ze str. 1

planowano początkowo, gdy starano się zharmonizować potrzeby w zakresie dachu nad głową z planowanymi tam obiektami przemysłowo-magazynowymi. A przy tej zaskakująco nadmiernej rozbudowie bardzo trudno teraz nadażyć za równomiernym zaspokojeniem potrzeb w dziedzinie usług wszelkiego rodzaju. Dlatego i Dąbrowa jest już dziś nadmiernie zagęszczona.

Zauważmy też, jak ten brak harmonijnego rozwoju budownictwa w centrum i poza nim, odbił się na innych funkcjach miasta. Spotęgował na przykład kłopoty komunikacyjne. Trasy tramwajowe wydłużyły się, co w powiązaniu z ubóstwem taboru w okresie ostatnich 10 lat i istnie-

nem pięciu „szczytów komunikacyjnych”, pogorszyło znacznie warunki dojazdów do pracy i z pracy.

\*

Problem: centrum — obrzeża miasta, nadal stanowi przedmiot wielorakich dyskusji. Bo jest faktem, że te obrzeża, niezależnie od przyspieszonego programu unowocześnień śródmieścia, rozbudowywać się będą i w przyszłości. Bo przecież minimalne zaspokojenie tzw. zamówienia społecznego w latach 1971—75 wynosi 140—150 tys. izb mieszkalnych, bo w okresie 1976—80 rośnie to zamówienie do 200 tys. izb — a centrum, czy nawet śródmieście, tego nie pomieści.

Jeśli tak — to nabrzmiewa sprawa rozwiązań komunikacyjnych. Jest wielu przeciwników Szybkiej Kolei Miejskiej, czyli metra, albo komunikacji typu berlińskiej (trochę pod ziemią, a trochę w wykopach), wszyscy są jednak zgodni co do tego, że setki tysięcy mieszkańców Teofilowa, Zubardzia, Dąbrowy, Dołów, Chojen i Retkini trzeba będzie już za lat 10—15 szybciej niż obecnie i bezkolizyjnie, w stosunku do reszty układu komunikacyjnego, przewozić z odległych peryferii do centrum i z powrotem. W 800—850 tys. mieście mielibyśmy nie jeden organizm, a sześć małych organizmów po 100—150 tys. mieszkańców, organizmów niezintegrowanych, nie spojonych krwioobiegiem wielkiego miasta.

Powoli dojrzewa pogląd na centrum. Przeobrażenia w tym rejonie muszą być odczuwalne jak najrychlej. Wszyscy łodzianie będą śledzić ów gigantyczny wysiłek, przekształcający centrum w oparcie o przemyślane założenia fachowców, urbanistów i architektów.

Ci ostatni, zaproszeni do udziału w wielkim dziele, słusznie domagają się swobody w kręśleniu łódzkiego centrum, domagają się uwolnienia od rygorów i ograniczeń wyznaczonych dotychczas przez ubogi zestaw materiałów budowlanych, stosowanych w budownictwie uprzemysłowionym i przez fetysz lokalizacji, nakazującej budować tam, gdzie nagle zaistniało wolne miejsce i budować niezależnie od tego, czy te plombowce klóca się z otoczeniem i jego architekturą, czy też wkomponowane są harmonijnie. Sądzić należy, że program szybkiej zabudowy i modernizacji centrum, łącznie ze Śródmiejską Dzielnicą Mieszkanową, pogodzi dwa momenty — służebności miastu i twórczej swobody projektantów.

\*

Nim jednak ruszy pełnym rytmem owa praca sensownie kształtująca nasze śródmieście i reprezentacyjne centrum — trzeba będzie, i to dość szybko, opowiedzieć się po stronie jednego czy drugiego obozu zainteresowanego przyszłością. Trzeba będzie rozważyć na zimno najbardziej nawet gorące żądania łodzian, zakochanych w relikwach z okresu tworzenia się wielokapitalistycznej Łodzi w XIX wieku. Niektórzy z nich, nie patrząc na bieg czasu, chcą zatrzymać Piotrkowską i wiele ulic centrum w ich obecnym, a więc historycznym kształcie architektonicznym. Mniej zagorzali i namiętni w tym obozie secesji z okresu rozwoju potęg bawelnianych w Łodzi, chcieliby chociaż zostawić przyszłym pokoleniom nienaruszoną Piotrkowską.

Drugi obóz wołałby już jutro ściągnąć buldozery, aby jak najszybciej na gruzach rejonów bez uroku wzniesie centrum Łodzi, godne II połowy XX wieku. Na pytanie: A co z chatkami tkaczy, co z zabytkowymi obiektami fabrykanckimi, ilustrującymi największy w historii rozkwit włókienniczej Łodzi? — odpowiada ją oni tak: Te chatki tkaczy należy umieścić w parku, w specjalnym skansenie w mieście, czy za miastem, a secesję zarejestrować w literaturze o Łodzi dawnej, czy w albumach o Piotrkowskiej.

Myszę, że warto zatroszczyć się o pogodzenie obu stron, szukając sensownego obrazu miasta przyszłości. Przy tym godzeniu można chyba operować argumentem czasu i przemian, jakie niesie. Można na przykład zastanowić się, czy uwspółcześniony kształt miasta i jego reprezentacyjnego centrum będzie mógł się sam „wkomponować” w wiek XXI, który nadejdzie już za 29 lat. W XXI wieku domy, które chcemy budować w centrum już w najbliższych latach, będą jeszcze stać co najmniej 60—70 lat.

\*

Myślenie o tak odległej przyszłości nie zwalnia nas od załatwiania spraw drobniejszych, choć nieodzownych i związanych z całym procesem przebudowy miasta. A więc już w najbliższym czasie miasto powinno otrzymać pomoc w sprzęcie do budownictwa wysokiego, powyżej 11-kondygnacyjnego. Bo tak wysoko chyba powinno się budować, a sprzętu do budowy domów mieszkalnych powyżej 11 kondygnacji w Łodzi nie ma.

I druga sprawa. W owych wysokich domach śródmieścia (i nie tylko śródmieścia) powinniśmy się wreszcie uwolnić od zmyru przecieków i innych usterek budowlanych. Na sesji rady narodowej, która odbyła się w kwietniu, ktoś powiedział, że w okresie od 1960 r. domów z przeciekami ujawniono w naszym mieście więcej, niż w ogóle wybudowano

ich w okresie pięciu lat. Stąd pilny obowiązek podniesienia standardu budownictwa i ostatecznego sprawdzenia wszystkich stosowanych technologii budownictwa uprzemysłowionego.

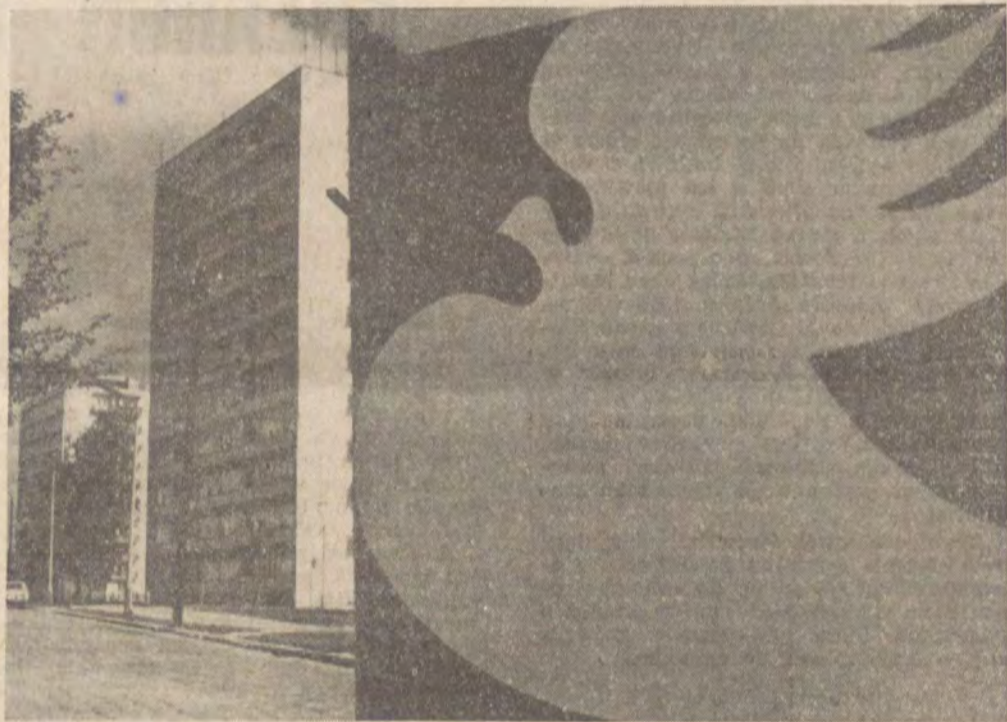
Musimy godzić postulat szybkości budowy i ilości nowych mieszkań z postulatami jakości i standardu, tym bardziej, że coraz bardziej oczywisty staje się rachunek ekonomiczny. Tanie mieszkania, budowane oszczędnie bardzo technologiami i w efekcie z wieloma usterekami, które trzeba potem całymi latami usuwać — są i tak droższe niż mieszkania bezusterkowe.

Łodzi pilnie potrzebne jest usprzętowanie budownictwa wysokościowego w centrum i lepsze, bardziej udane projekty domów mieszkalnych dla całego rosnącego miasta. W tych dniach władze miasta zapalły „zielone światło” dla eksperymentalnego projektu o nazwie „Dąbrowa-70”. Bloki budowane w oparciu o ten projekt na Zarzewie, to domy o wysokim standardzie, bardziej funkcjonalne. „Dąbrowa-70” nie ma jeszcze generalnej akceptacji resortu gospodarki komunalnej, ale ci wszyscy, którzy mieszkają w owych eksperymentalnych obiektach, mówią, że właśnie tak powinno się w Łodzi budować. A naszym władzom chodzi o to, aby według tego projektu wzniesić chociaż 20 tys. izb.

\*

Wreszcie pożądaną są bardziej zdecydowane kroki w dziedzinie ochrony naturalnego środowiska człowieka. W samym śródmieściu kilkadziesiąt zakładów przemysłowych zadymia powietrze i zasypuje pyłem ulice. Czas pomyśleć o rychłym ich przeniesieniu czy odtworzeniu na innych terenach, przy przedstawieniu się na nowocześniejsze techniki produkcji ciepła i pary technologicznej.

FELIKS BĄBOL



Fot. W. Parys

WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI

## DNO MA ZŁOCISTE...

Do Wilna wjeżdżamy przez pejzaże rzadkiej do-prawy piękności. Miasto ukazuje się i znika za wzgórzami, świeża zieleń odmładza świat, dolinami płyną czyste rzeczki, dna jech złociste i niebieskie lica. Jakoś mimo woli przypominamy sobie szkolne lektury: kilku młodzieńców, pod przydyk Tomasz Zana, złożyło stowarzyszenie Filomatów, a zbierali się właśnie na tych zieleniejących wzgórzach, widzieli dokładnie z okien wagonu pasmo Ponarskie, mignęła nam przed oczyma Góra Zamkowa i Trzykrzyńska. Pomagali sobie w nauce, odczytywali utwory poetyckie, mówili o cnotach obywatelskich i konieczności podtrzymywania narodowego ducha. I pieśni śpiewali: Wilija naszych strumieni

dziewica, hej! użyjmy żywota, wszak żyjemy tylko raz!

Sluchali wspaniałych wykładów Jędrzeja Śniadeckiego, Stanisława Jundzilla, młodzieńczego, ledwie 30-letniego Joachima Lelewela i Ernesta Godfryda Grodecka, podziwiali w Teatrze Narodowym Wojciecha Bogusławskiego, który zjechał do Wilna w 1816 roku ze swoją znakomitą trupą. Stowarzyszenie zostało rozwiązane. Mickiewicz przebywał wtedy w Kownie, gdzie parął się bełferką i stamtąd pisał do Czeczota:

„Przybył tu niedawno doktor Kosztulski z Wilna, mówił o promienistości, dodał, że piękny zamiar, ale na co Promieniści oświadczyli się głośno ojczyne z kajdan ratować? To wszystkich przeraziło. Widzicie, jak trzeba ostrożnie... Chciałabym rektor Zanowi zakazać swo-

iywania, Promieniści nięch sami się zgrzeszą i Zana wezwą, po czym ułożyć adres do rektora i wysłać kilku z podpisami wszystkich. W adresie wyrazić, iż brak zabaw akademickich narząza młodzień na zabawy nieuczelniane, że zatem dobrze byłoby utworzyć powszechną na zabawę, połączoną z nauką, jako to czytaniem, deklamowaniem etc...”

Program, pod którym mogłoby się podpisać i nasze Zrzeszenie Studentów Polskich — myśliśmy o bajz z I-gorem Sikiryckim, ale oto pociąg już na wileńskim dworcu. Witają nas nasi litewscy przyjaciele i pisarze: Albin Bernotas, Witold Petkiewicz i Witold Siros-Giera wraz z małżonką. W godzinę później wleczymy się po mieście. Ale to nie takie proste. Wilno jest miastem urzekającym, nie sposób od-tworzyć jego atmosferę, niezapomniany klimat, w którym wieki mówią i mówią wota, ofiarowania, podziękowania, cichy szepot modlących się ludzi”. Obok starych klasztorów Bazylianów, w któ-

rym więziono Mickiewicza, kilkadziesiąt metrów dalej prześliczny, nowoczesny pawilon, który eksponuje sztukę zdobniczą i malarstwo dzisiejszej Litwy. Wszystko, jak by powiedział nasz krajowy snob, na poziomie europejskich osiągnięć, może tylko malarstwo odrobnie jeszcze tradycyjne. Grafika zdumiewa śmiałością, a już bursztyny oprawione w srebro czy miedź, wytworne, lekkie, mogłyby z pewnością przyprawić o szybsze bicie serca nasze modniśki.

I tak to się w Wilnie przeplata stare i nowe. Jedziemy ulicą Kościuszki, zachowano jej tradycyjną nazwę, po drugiej stronie Wilni, w rejonie dawnych Żyrmondów, stoi nowe Wilno. Architektura odpowiadająca jak najbardziej współczesnym wzorom przypomina to lepsze polskie budownictwo, może tylko wnętrza litewskie trochę nasze przewyszają, są bardziej pomysłowe i funkcjonalne, nie zdarzyło się Litwinom budować kuchni bez okna i jednej łazienki na całe piętro. Do nowego Wilna wjechać można przez niedawno zbudowany most, elegancki, jednodrożny. A obok znów przeszłość — perła wileńskiego baroku: kościół

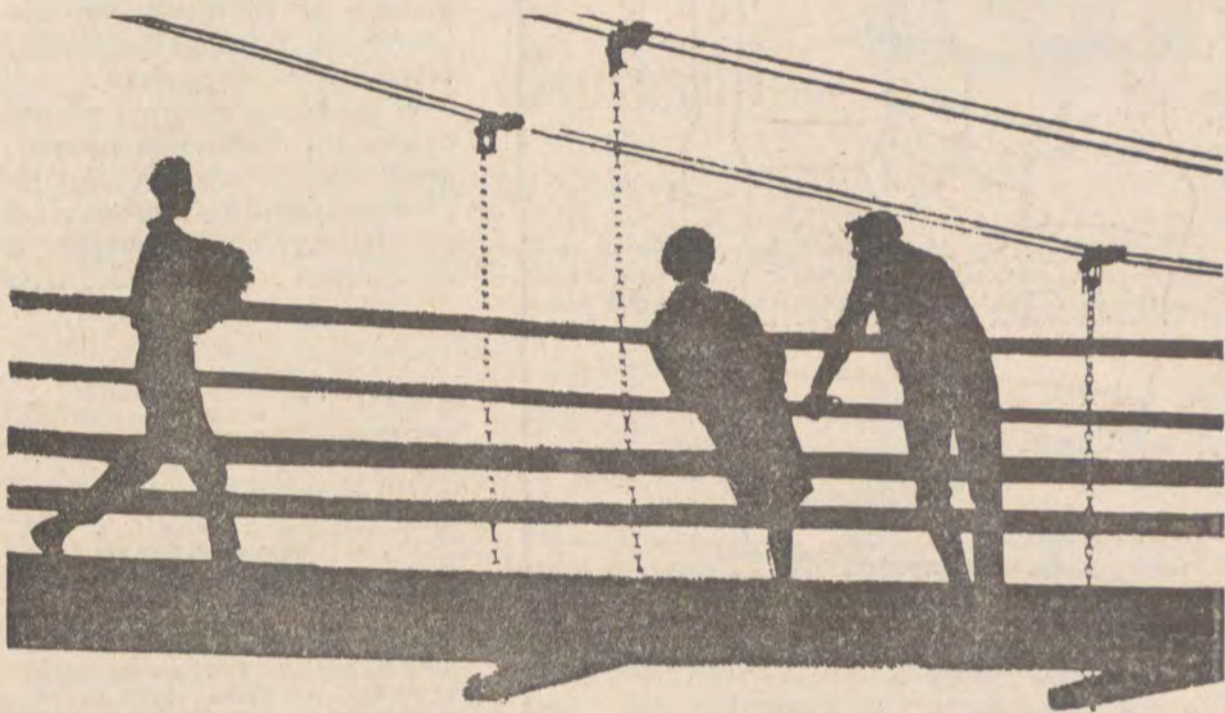
św. Piotra i Pawła. Stawiał go swoim sumptem stary grzesznik — wojewoda Pac, pochowany zresztą na miejscu pod zwykłą kamienną płytą. Europa mało zna takich bogatych kościołów. Samych twarzą ludzkich wszystkich warstw społecznych tamtego czasu naliczono około 2 tysięcy, a wszystkie wyrzeźbione z drobiazgową starannością. Znany to zbyt dobrze kościół, abym musiał opisywać szczegóły.

Niedaleko, przy ulicy Kościuszki, pod numerem 13 mieszka jeden z najwybitniejszych pisarzy Litwy Radzieckiej — Edward Miezełajtis, laureat wielu nagród, także i nagrody Leninowskiej w dziedzinie literatury, pisarz o sławie wykraczającej daleko poza granice ZSRR. Zjawiamy się u niego niespodziewanie, typowy polski zajazd na Litwie, ale gospodarz spisał się nad podziw męźnie. Nie tylko zastawił na poczekaniu stół, ale jeszcze zaprosił Justynę Marcinkiewiczą, wybitnego poetę i także zdobywcę wielu nagród. Z miejsca okazało się, że świat nie jest znów taki wielki. Sikirycki tłumaczył Miezełajtisa i Marcinkiewicz, obu publikowaliśmy w Łodzi, Petkiewicz wydał u nas powieść,

słowem czuliśmy się od razu jak w domu, zwłaszcza, że rozmowa toczyła się swobodnie w języku polskim. Jest rzeczą oczywistą, że mówiliśmy nie tylko o literaturze, kolegów z Litwy in-teresowały żywo bolesne wydarzenia w Polsce sprzed kilku miesięcy. A co do książki tośmy je między sobą wymienili, jak to jest w zwyczaju. Odniosłem wrażenie, że „Horyzonty” Miezełajtisa, to książka, która może zainteresować ambitniejszego czytelnika w naszym kraju. Jest to obszerny esej mówiący o sensie literatury, funkcjach, jakie może wypełnić, przetykany poezją i prozą.

Następnego dnia wielka wyprawa na Litwę. Wieź nas Witold Petkiewicz, jeszcze nie świadom tego, że otrzymał nagrodę ogólnonarodową za twórczość dla dzieci. Obrodzili nam laureaci na Litwie nad podziw. Pierwszy etap, to naturalnie Troki, jeden z najpiękniejszych zakątków Litwy. Błękitne oczy jezior, otoczone lasami, spoglądają na pogodne tego dnia niebo. Troki, położone na wąskim przemyku, między jeziorami Tatarszki, Galwe i Łuka, należą do najstarszych osad Litwy. Doskonałe miej-

## CZARODZIEJE



Urodzeni w niedzielę pracowali najczęściej właśnie w dniu swoich urodzin. Zwykle z soboty na niedzielę choć nie gardzili również świętami. Wslawili się w ubiegłym roku podczas świąt wielkanocnych włamaniem do sklepu „Jubilera” przez kawiarnię „Turecka”. Skradli wtedy sporo zegarków, srebro, złote obrączki, naszyjniki z bursztynu, zapalniczki, łączna wartość łupu wyniosła 180.000 złotych. Opuścić sklep zostawili na ścianie chlepliwy napis: „czarodzieje”.

Rzecz odbiła się dość głośnym echem w mieście, a telewizja nawet pokazała skutki rabunku w Łódzkich Wiadomościach Dnia. Włamywacze, oglądając program, mogli się czuć dumni. I czuli się dumni. Główny sprawca stwierdził, że była to „dobra i czysta robota”. „Tak dobrze i czysto to tylko ja potrafię zrobić” — nie omieszkał pochwalić się przed swą paserką. Łódzka milicja pracowała widocznie jeszcze czystziej i lepiej, ponieważ nasz „fachowiec” zasiadł niedawno na ławie oskarżonych razem ze swymi współnikami. Zakasował 15 lat, czyli jak to się w gwarze więziennej nazywa — piętnaście kalendarzy.

Biorąc pod uwagę, że i do tej pory na wolności przebywał raczej przelotnie, niewiele mu chyba po wyjściu z więzienia zostanie czasu na wachanie fiolków i upajanie się majowym śpiewem słowików. Przypną, że szkoda mi go, choć kary jego nie uważam wcale za wygórowaną. Jest współmierną do winy. Od najmłodszych lat terroryzował mieszkańców Chojen. Stał na czele chuligańskiej bandy „Zorro”, nosił pseudonim „Popelina” i brzytwę. Jak przystało na bandyckiego idola z przedmieścia, zaręczył się z panną w więzieniu złodziejką kieszonkową, która go dystansowała w przestępczym rzemiośle, albowiem już w jedenastej wiosnie swego burzliwego życia przewodziła złodziejskiej szajce. Żeby mu narzeczona nie zaginęła, brzytwą naznaczył jej na twarzy literę „Z”. Siebie również w ten sposób namiętnował. Gest, który miał być w zamiśle romantyczny, był po prostu kabotyński. Ale w końcu nie wymagamy od chłopaka zbyt wiele. Intelktualista to on nie jest, choć i ostatnim głupcem także nie. Chociaż podczas rozprawy raz wszedł do sali sądowej na czworakach, innym razem znów się nadął, to znaczy napelniał powietrzem. Uczynił to w trakcie kilkunastominutowej przerwy, tak, że trzeba było sprowadzić lekarza, a rozprawę odłożyć. Rzadką tę umiejętność posiadają starzy recydywiści. Na pytanie sądu, co to ma oznaczać, odrzekł, że ma w sobie „rozdętka”. Temida nie ma jednak poczucia humoru, choć nieobca jest ta cnota sędziemu Ograbkowi, który rozprawie przewodniczył.

Symulowanie choroby psychicznej jest przy obecnym stanie medycyny rzeczą raczej beznadziejną i ucieczką od sprawiedliwości przez furtkę psychiatryczną ma

dziś prawie takie same szanse, jak ucieczka przez bramę więzienną. Ale o tym nasz chojeński heros nie wiedział i już w łączyckim więzieniu rozmawiał z głośniekiem radiowym, czym się tylko ośmieszył w oczach współtowarzyszy. Chcąc zachować twarz podpalił więc celę i tylko dzięki szybkiej interwencji straży więziennej udało się wszystkim uratować. Oczywiście pierwszy z płonącej celi wyskoczył nasz bohater. Nie trzeba być tegim psychologiem, żeby stwierdzić, że jest on wyjątkowym tchórzem, a tchórze pokrywają strach historyczną agresywnością. Tak męska rzecz, jak odwaga cywilna, jest mu całkiem obca. Dowodzi tego choćby fakt, że w czasie sześciu włamań, jakie zdołał zorganizować w ciągu jedenastomiesięcznej przerwy — od chwili wyjścia z więzienia na skutek amnestii, do momentu aresztowania — zawsze usiłował stać na tzw. lipku, gdyż sam bał się brać bezpośredni udział w kradzieży. Posługiwał się młodszymi od siebie: Markiem Kopczyńskim (Potulna 7) i Henrykiem Salacińskim (Podgórna 30). Imponował im swą więzienną przeszłością i podmiejską legendą, którą cieszył się w dzielnicy.

Czas podać nazwisko księcia nocy. Nazywa się Ryszard Rusiecki. Książę Nocy — tak się kazał tytułować. Widocznie przezwisko „Popelina” wydało mu się zbyt prostackie.

A oto krótki rejestr jego czynów:

- włamanie do sklepu z art. gospodarstwa domowego,
- włamanie do sklepu Sp-ni Inwal. im. Byłych Więźniów Radogoszca,
- włamanie do sklepu MHD nr 503,
- włamanie do sklepu PSS Art. Elektrotechniczne,
- włamanie do sklepu PSS Art. Gosp. Domowego nr 1035,
- włamanie do sklepu PHD „Jubilera”.

W sumie wartość zrabowanych przedmiotów wyniosła prawie pół miliona złotych. Z reguły towarzyszył mu albo Kopczyński, albo Salaciński albo obydwaj. Szczegółowy opis włamań nie jest aż tak atrakcyjny, żeby się tu nad nim szeroko rozvádzić. Przychodzili z łomem lub wiertarką, wywalali drzwi, lub wybijali szybę w oknie, brali co pod ręką, i w nogi. Potem spędzali wszystko za grosze na Bałuckim Rynku, gdzie zresztą zostali zatrzymani przez milicję. Część rzeczy przekazywali paserce, Genowefie Dylewskiej, która z „trefny” zegarkami i swetrami jeździła na Śląsk.

Do sklepu „Jubilera” włamali się o trzeciej nad ranem, 29 marca 1970 r. Kopczyński wszedł oknem do remontowanej akurat kawiarni, przebrał się tam w robocze ubranie, które znalazł na miejscu i przystąpił do wiercenia otworu w ścianie. Rusiecki tymczasem poszedł do domu i przyrzekł, że zjawi się dopiero wieczorem. Kopczyński wybił dość głęboki otwór

w ścianie, lecz stwierdził, że w tym miejscu trudno będzie się dostać do wnętrza sklepu. Przystąpił więc do wykuvania drugiego otworu ale i tym razem bez większego rezultatu. Dopiero za trzecim razem udało mu się. Wszedł przez wybity otwór do sklepu, naładował do torby zegarków i biżuterii i wrócił tą samą drogą do pustej kawiarni. Rusiecki już czekał na niego przed budynkiem, zabrał torbę i pojechali taksówką na Chojny. Rankiem, następnego dnia, Kopczyński otrzymał 8 i pół tysiąca zł, a resztę, tj. przedmioty wartości około 170 tysięcy zatrzymał dla siebie organizator włamania. Jak widać koleżeńskość to słabsza strona jego natury.

Koronnym świadkiem na rozprawie był mąż Dylewskiej, Tadeusz Jagielski. Rozprawa była jedyną w swoim rodzaju. Otóż pomocnicy Rusieckiego odwołali przed sądem wszystkie swoje zeznania, złożone w śledztwie. Rusiecki do winy się nie przyznał, wpadł natomiast na szatański pomysł dokonania rozsady. Konsepcja jego polegała na tym, żeby zamiast niego na ławie oskarżonych zasiadł świadek Jagielski. Sobie tylko znanymi sposobami zmusił współoskarżonych, — żeby zeznali przed sądem iż to nie z nim, lecz z Jagielskim brali udział we wszystkich włamaniach. Bo, nawet żonę

Jagielskiego udało mu się nakłonić do tego, by zaczęła pomawiać swego męża. Oczekując na rozprawę w więzieniu reżyserował przebieg procesu. Najpierw wysłał gryps do Marka Kopczyńskiego i załączył do tego „zeznanie”, które ten miał złożyć przed sądem.

„MAREK! Przepisz te zeznania swoim charakterem na inne kartki i możesz to przedstawić na sprawie, tzn. podasz sądziemu, tego nikt Ci nie może zabrać ponieważ to są twoje zeznania, które Ty osobiście szykujesz na rozprawę. Oprócz tego naucz się na pamięć całosci. W takim wypadku nie ma co się żałować Jagielskiego gdyż on jest przyczyną Twojego siedzenia. Dlatego przepisz sobie to na czysto te zeznania naucz się na pamięć, prócz tego podasz w sądzie sądziemu. Bądź wytrwały nie zatajaj się skoro zeznasz taką prawdę to wyrokiem będzie miał a natomiast Jagielski będzie siedział. Bądź człowiekiem a krzywdy nie chodzi na wolności i śmieje się, że złapał naiwniaka. Otóż jeśli wszedłem w kolizję z prawem, to tylko przez Tadeusza Jagielskiego i Genowefę Dylewską, albowiem ci ludzie zrobili ze mnie przestępcę. A jak to było, więc proszę mnie wysłuchać.

Jagielskiego i Dylewską znam od 1969 r. Ich syn Wojtek chodził z moją siostrą. U mnie w domu była bieda, gdyż sama matka tylko pracowała. Jagielski Tadeusz i jego kochanka wiedzieli, jak przedstawia się u mnie byt życiowy w domu i pewnego dnia w 1969 r. zaproponowali mi taką oto pracę zarobkową, która odbywała się w ten sposób, że w sobotę na Czerwonym Rynku stałem przy Jagielskim i Dylewskiej i jak oni sprzedawali rzeczy kradzione to gdyby milicja lub właściciel danej rzeczy złapał Jagielskiego z tym to on miał wówczas mówić, że kupował przed chwilą ode mnie. A ja miałem potwierdzić to. Także co sobota Jagielski za takie stanie dawał mi 150 zł. Mówił mi zawsze żebym się nie bał bo w razie wpadki dostanę dom poprawczy, bo jestem nieletni a on ma tyle pieniędzy, że w każdej chwili mnie wykupi. Na początku lutego 1970 r. Jagielski przyszedł do domu do mnie i zabrał mnie do siebie i powiedział — no Mareczku jest wysoka gra i jeśli ja wygrasz to cię ożołe, a polega na tym żeby Ryska Popeliną zlatować, żeby był wdzięczny mi tzn. Jagielskiemu. Wysoki Sądzie Jagielski powiedział, że Popelina wie coś o nim i z tego powodu

## ZEZNANIE

Wysoki Sądzie Wojewódzki. Teraz powiem całą prawdę, gdyż nie mam zamiaru brać na siebie przestępstw popełnionych przez człowieka, który chodzi na wolności i śmieje się, że złapał naiwniaka. Otóż jeśli wszedłem w kolizję z prawem, to tylko przez Tadeusza Jagielskiego i Genowefę Dylewską, albowiem ci ludzie zrobili ze mnie przestępcę. A jak to było, więc proszę mnie wysłuchać.

Wysoki Sądzie Wojewódzki. Teraz powiem całą prawdę, gdyż nie mam zamiaru brać na siebie przestępstw popełnionych przez człowieka, który chodzi na wolności i śmieje się, że złapał naiwniaka. Otóż jeśli wszedłem w kolizję z prawem, to tylko przez Tadeusza Jagielskiego i Genowefę Dylewską, albowiem ci ludzie zrobili ze mnie przestępcę. A jak to było, więc proszę mnie wysłuchać.

Jagielskiego i Dylewską znam od 1969 r. Ich syn Wojtek chodził z moją siostrą. U mnie w domu była bieda, gdyż sama matka tylko pracowała. Jagielski Tadeusz i jego kochanka wiedzieli, jak przedstawia się u mnie byt życiowy w domu i pewnego dnia w 1969 r. zaproponowali mi taką oto pracę zarobkową, która odbywała się w ten sposób, że w sobotę na Czerwonym Rynku stałem przy Jagielskim i Dylewskiej i jak oni sprzedawali rzeczy kradzione to gdyby milicja lub właściciel danej rzeczy złapał Jagielskiego z tym to on miał wówczas mówić, że kupował przed chwilą ode mnie. A ja miałem potwierdzić to. Także co sobota Jagielski za takie stanie dawał mi 150 zł. Mówił mi zawsze żebym się nie bał bo w razie wpadki dostanę dom poprawczy, bo jestem nieletni a on ma tyle pieniędzy, że w każdej chwili mnie wykupi. Na początku lutego 1970 r. Jagielski przyszedł do domu do mnie i zabrał mnie do siebie i powiedział — no Mareczku jest wysoka gra i jeśli ja wygrasz to cię ożołe, a polega na tym żeby Ryska Popeliną zlatować, żeby był wdzięczny mi tzn. Jagielskiemu. Wysoki Sądzie Jagielski powiedział, że Popelina wie coś o nim i z tego powodu

Dalszy ciąg na str. 9

scie obrony przed Krzyżakami wykorzystali Litwini znakomicie, zamek na wyspie, gdzie dzisiaj mieści się Muzeum Historyczne, mógł przez wiele wieków uchodzić za niezdołany.

Petkiewicz to dawny partyzant i właśnie on zwrócił naszą uwagę na wyjątkowo krwawo dzieje ziemie trockiej. Chłopi z tych stron parli powstanie z 1830 roku, bili się pod Ponarami, kiedy powstańcy atakowali Wilno. Jeden z powstańców opowiadał Mickiewiczowi o zdobyciu Trok przez powstańców, a nasz wieszcz napisał wiersz pt. „Nocleg”. Tysiące chłopów brało udział w powstaniu z roku 1863. W ciężkie popadła Litwa opresje po klęsce powstania, szkołom odebrano języki ojczyste, wszędzie mówiono językiem cara. Ale tak już jest, że na tle czarnego lepiej widać białe. Szalał Murawiew, a równocześnie budziła się na Litwie świadomość narodowa. W muzeum kowieńskim można oglądać rzeźbę Rymszy — „Matka Litwinka”. Ta kobieta trzymająca w jednej ręce książkę, drugą podtrzymuje dziecko, najwymowniej mówi, jak bardzo walczono o prawo do własnego języka i własnej książki.

Nasz cicerone, choć to dyrektor kinematografii litewskiej, jest skromny, niechętnie mówi o czasach okupacji. Ale przecież od tej rozmowy uciec nie może. Wiadomo nam skądinąd dobrze, że na przekór okupantom i zaprzańcom w rodzaju szaulisów, właśnie na ziemi trockiej, w tych bujnych lasach, powstały pierwsze oddziały partyzanckie, nie zawsze komunistyczne, lecz zawsze patriotyczne. Nie brakowało i Polaków, Rosjan i Białorusinów. Nasz gospodarz rozgadał się trochę, kiedy przekonał się, że rozumiemy złożoność sytuacji na Litwie podczas wojny. Opowiada o wielkiej bitwie o wieś Rudniki, leżąca na krawędzi Puszczy Rudnickiej. Walka trwała 5 godzin, faszysti sprowadzili na pomoc 20 samolotów, czołgi, artylerię i granatniki, a jednak nie potrafili złamać partyzantów. Stracili wszystkie czołgi, dwa samoloty i wycofali się.

Dzisiaj można oglądać w lasach Inkleryjskich odbudowane ziemianki partyzanckie, na mogiłach wzniesiono krzyże typowo litewskie. Chrześcijański krzyż wpleciony jest w pogański znak starej Litwy — słońce. Na południe od Trok leży wieś

Pircziupis, prawdziwy podczas okupacji castrum doloris, spalona, zrównana z ziemią podczas bestialskiej pacyfikacji. Pod samą wsią stoi pomnik Matki z Pircziupisu, dłuta Gedymina Jakubonisa, zdobywcy Nagrody Leninowskiej. Kamienna, zastęga twarz matki wyraża nie tylko cierpienie, ale i wolę walki. Każdy, kto tamtędy przejeżdża zatrzymuje się, musi się zatrzymać i położyć choćby zwykłe, polne kwiaty pod pomnikiem.

Obiad jemy w miejscowości Boczkonis, nastrój zmienia się momentalnie na widok czysto litewskich specjalistów: kindziak, barszcz litewski, zrazy także litewskie i kwas, doskonały kwas. Rozmowa schodzi na lżejsze tematy, w końcu nie możemy być od rana do nocy śmiertelnie poważni. Mówimy początkowo o knajpkach litewskich. Widziałem świetnie zaopatrzone, a przede wszystkim urządzone w litewskim guście restauracje Wilna, Trok, Boczkonis, Prianai i Kowna. Sikirycki nie widział, debituje, ale jest zachwycony wewnętrzną architekturą, utrzymaną konsekwentnie w narodowym stylu.

Przed nami Kowno. Może właśnie dlatego przypominał

mi się jeden z listów Mickiewicza na temat niezłych obiadków: „W Kownie stary profesor, znany jako skąpiec i samolub, powiada mi raz: „dlaczego pan nie przyjmiesz zaproszeń na obiad? Wiele osób czuloby się zaszczyconymi twoją obecnością. I sprawując przyjemność drugim, sam byś nie mało oszczędził. Ja tym sposobem odłożyłem każdego roku trzecią część pensji”.

Myśmy zaproszenie przyjęli i syci spoglądamy na rozbudowujące się Kowno. Ta sama lekka, bardzo nowoczesna architektura co i w Wilnie. Kowno rozrasta się, przekroczyło już liczbę 300 tysięcy mieszkańców, to prężny ośrodek przemysłu tekstylnego i maszynowego. Położone nie mniej pięknie niż stolica Litwy, w widłach szerokiego Niemna i Wilii, opodal sławnego już dzisiaj Morza Kowieńskiego. Oczywiście zwiedzamy muzeum. W tym roku subtelne obrazy Czurlonisa są ekspozowane specjalnie, w osobnym pawilonie. Tego ucznia Jacka Malczewskiego można godzinami oglądać, jest w nim bowiem coś europejskiego i równocześnie wiele litewskiego. Muzeum wystawia także sztukę ludową Litwy — świątki, rzeźbione w

lipie i jaworowym drzewie, małdonny malowane w błękitnej tonacji, jak u nas, zupełnie jak u nas, niektóre zresztą napisy są polskie. Miasto ruchliwe, powieźdźmy — wesołe. A kiedy Mickiewicz pisał do Zanna:

„Nuda, maruda, oteżałość, ospałość etc. Stęgnie ochota dawania pracowitego lektury, bo w klasach wyższych są głowy zupełnie żmujdzkie, zresztą sami profesorowie skarżą się, że nigdy szkół tak ubogich w talenta nie mieli...”

Wieczór na powrót w Wilnie. Petkiewicz dowiaduje się, że dostał nagrodę za twórczość dla dzieci. Trudno mi powiedzieć, co było dalej, naturalnie jeśli chodzi o szczegóły. Pamiętam przecież dobrze, że pojawił się jeszcze jeden przemysłowy pisarz poeta — Józef Macevicius, oraz tenor opery leningradzkiej, pochodzenia litewskiego, który odśpiewał nam koło północy arie z „Cyrulika Sewilskiego”. Głównie jak dzwon, jeśli się nie mylę. Była typowa biesiada pisarzy, przemila, odrobina bałagulska i nieskładna. Załatwiliśmy w każdym razie mówiąc różnymi językami — najważniejsze sprawy tego świata. Małe sprawy, ale za to istotne omawialiśmy następnego dnia.

Rozmowę z litewskim wydawcą uznaliśmy za wyjątkowo pożyteczną. Przyjmował nas redaktor naczelny Wydawnictwa „Vaga” — Jonasz Cekis. Nasze łódzkie wydawnictwo ma już w tłumaczeniu dwie powieści litewskie — Witolda Petkiewiczusa i Witolda Sirosa — Giry, w niedalekiej perspektywie — Edward Mielajtis i Justyn Marcinkievicius. Umówiliśmy się, że „Vaga” będzie także wydawać 2-3 pozycje pisarzy łódzkich rocznie. Wymiana redaktorów i rozmowy szczegółowe odbędą się jesienią bieżącego roku. Niczego więcej nie mogliśmy sobie życzyć.

Wypada jeszcze napisać kilka słów na zakończenie tych trzech gawęd o podróży dwóch łódzkich pisarzy. Przejechalśmy w sumie ponad 12 tysięcy kilometrów, znaleźliśmy na ołbrzymich przestrzeniach Związku Radzieckiego — wielu świetnych pisarzy, których warto przedstawić polskiemu czytelnikowi. I jeszcze jedno: przyjaźń obowiązuje zawsze w dwie strony, wierzymy więc, że nasze książki znajdą się na chłonnym rynku radzieckim.

WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI



Rys. E. Inglot

## BAJKI WIETNAMSKIE

### CIEŃ

Żyła kiedyś kobieta, której męża jako żołnierza wysłano na posterunek graniczny — daleko w głąb kraju, dokąd się dojdzie, płynąc w górę rzeki. W owym czasie połączenia były bardzo złe, toteż kobieta podczas kilku lat jego pobytu, otrzymywała skąpe wiadomości. Kiedy pewnego wieczoru siedziała pod lampą przy śpiącym dziecku i szyla, nadciągnęła burza. Wiatr zgasił lampę, rozległ się grzmot, obudziło się dziecko. Ze strachu zaczęło płakać. Matka ponownie zapaliła knot nasączony oliwą, wskazując na jego cień, rysujący się na ścianie, powiedziała „nie bój się, mój maleńki, ojciec jest z nami, czuwa nad tobą”. Dziecko spojrzelo na cień i przestało płakać.

Następnego dnia, kiedy szło spać, zaprzagnęło znowu zobaczyć ojca. Matka uśmiechnęła się uszczęśliwiona i stanęła tak, żeby syn mógł zobaczyć jej cień. Nauczyła go składać ręce, zanim pochylił się przed cieniem i powiedział: „Dobranoc, mój ojciec”.

Szybko przyzwyczaił się do tego i każdego wieczora powtarzał ten obrzęd. Gdy dziecko spało, matka czuwała długo w noc, rzucając cień.

Powrócił mąż. Widziała go, lecz nie miała odwagi go powitać i nie znalazła ani gestów ani słów, które by mogły wyrazić jej radość. Gdy jednak zbliżył się do niej, ujrzał lzy spływające po jej spokojnej twarzy. Ukradkiem starta lzy i usłyszał jej ukochany głos: „Musimy złożyć przodkom ofiarę. Ja to spełnię, a ty zaopiekuj się naszym dzieckiem”.

W czasie jej nieobecności ojciec szybko zaprzyjaźnił się z synem. Lecz gdy miał odezwać się do niego i nazwać go ojcem, dziecko sprzeciwiło się i powiedziało: „Nie, ty nie jesteś moim ojcem. Co wieczór, gdy idę spać, mówię do swojego ojca „Dobranoc”.

Przykre to było nieporozumienie i ojciec cierpiał bardzo. Ponieważ duma i delikatność nie pozwoliły mu spytać o to żony, dręczył się jeszcze bardziej.

Pewnego dnia, zaraz po przyjęciu z targu, poczuła, że nieszczęścia, które weszło pod ich dach, nie da się odwrócić.

Najczulsze jej słowa i najmiłsze gesty pogłębiały jeszcze jego gorycz i odwracał się bez odpowiedzi.

Chociaż sądził że jest w błędzie, miał jej za złe milczenie, w które i sam popadł, mimo że próbował znaleźć jakiś sposób pojednania. Nie zaniedbał także ukorzyć się w prośbie przed duchami przodków, lecz po modlitwie zwił natychmiast matę, aby żona nie mogła dopełnić obrządku. Powstrzymywała lzy pokory, które napływały do oczu.

Gdy wzięła ofiarę z ołtarza i postawiła przed nim gotujący się ryż, nie dotknął patyków. Ryż ostygł w misce, czekała w milczeniu, a jej cierpienia nie znały już granic. Nagle podniósł się mąż i bez słowa opuścił dom.

Przez pewien czas ludzła się cichą nadzieją, że może wróci. Potem jednak przejął ją tak wielki ból, że biedna kobieta rzuciła się do rzeki.

Gdy dowiedział się o jej śmierci, wątpliwości skruszyły jego nieuzasadnioną złość. Powrócił.

Wieczorem zapalił lampę, płomień rzucił jego cień na ścianę. Ku wielkiemu zdziwieniu zobaczył, jak syn składa ręce i pochyła się przed cieniem.

Za późno poznał swój nieuleczalny błąd. Kazał urządzić ołtarz nad brzegiem rzeki i w czasie trzech dni i nocy zanoszono modły za duszę niewinnej. Potrafił jedynie pogodzić się z nieodwracalnym losem, i do ostatniego tchnienia pozostał wierny pamięci zmarłej.

JURY VI OGÓLNOPOLSKIEGO FESTIWALU POEZJI W SKŁADZIE: Mieczysław Jastrun (przewodniczący), Zbigniew Bieńkowski, Jan Błoński, Wojciech Boczkowski, Tadeusz Chróścielewski, Roman Łoboda, Ryszard Matuszewski, Bogdan Ostromęcki, Marian Piechal, Stefania Skwarczyńska, Michał Sprusiński przyznało cztery trzecie nagrody w konkursie otwartym na utwór poetycki o tematyce dowolnej. Nagrodzone wiersze drukujemy poniżej.

W konkursie otwartym na utwór poetycki o tematyce łódzkiej przyznano: drugą nagrodę Stanisławowi Kaszyńskiemu za utwór „Traktat Łódzki czyli traktat na chór mieszany”. Trzecią nagrodę otrzymał Jan Masajada z Opola za utwór „Oto Ona”.

TADEUSZ OLSZEWSKI

(Zalesie Dolne w Warszawie)

### Sanatorium

PRZYJACIOŁOM POETYCKIM

Niewielu nas tutaj Ledwie parę imion  
wyblakłe twarze ploną pojedynczo  
— to prawo gruźlicy albo metafory

Gruźlica powoli przywabia grabarza  
— to inny paragraf: prawo poetyki  
Będziemy umierać z każdym nowym wierszem

Lekarz się obok nas zatrzymuje długo  
stetoskop wychwytuje wszystkie ruchy prątków  
— w sąsiednim pawilonie zdrowieją Nie piszą

To dobrze — mówimy  
I rośnie gorączka  
Zapalamy świecę nad ozdowieńcami

JANUSZ KONIUSZ

(Zielona Góra)

Kim jestem ja który  
spadł z galezi  
drzewa genealogicznego  
Ile we mnie z górnika  
drwala  
kamieniarza  
Twardość styliska wywołuje w palcach

### MOSKITY

W naszym kraju moskity są bardzo uprzykrzone, w pewnych porach roku nawet nieznośne. Mimo, że wszyscy ludzie ich nienawidzą, mało jest takich, którzy znają ich historię i zdają sobie sprawę dlaczego te przekłete owady nieprzerwanie brzęczą wokół naszych uszu i usiłują ssać naszą krew.

Ngoc Tam, zwykły robotnik rolny, poślubił Nhan Diep. Ponieważ byli to ludzie zdrowi, przeznaczony im był żywot prosty, szczęśliwy i pracowity. Mężczyzna posiadał kilka poletek ryżowych i skrawek ziemi obsadzony drzewami morwy, kobieta zaś hodowlę jedwabników.

Lecz Nhan Diep była istotą płochą, leniwą, marzyła tylko o bogactwie i przyjemnościach. Łatwo umiała ukryć przed swoim mężem swe skłonności i zamiary, jego głęboka miłość nie była ani pretensjonalna ani przewidywająca; sądził, że żona jest zadowolona i szczęśliwa, byle mu tylko mogła pomóc. Troszczył się bardzo, by polepszyć ich wspólne życie.

Nagle śmierć zabrała Nhan Diep. Ngoc Tam cierpiał bez miary. Nie chciał rozłączyć się z ciałem żony i sprzeciwił się urzędzeniu pogrzebu; potem gdy sprzedał majątek, załadował trumnę na sampan i przykucnąwszy obok niej pozwolił unosić się prądowi rzeki.

Pewnego ranka znalazł się u podnóża zielonego i pachnącego wzgórza. Zszedłszy na ląd, ujrzał tysiące rzadkich kwiatów i drzew obciążonych różnymi owocami. Zachwycony pobiegł w górę i czuł się tak lekko, iż niepostrzeżenie znalazł się u szczytu. Niespodziewanie napotkał starca, który opierał się o bambus, włosy miał białe jak jedwab a jego pomarszczona twarz, ledwie ogorzala od słońca błyszczała młodością i zdrowiem. Pod jasnymi brwiami lśniły oczy jak u młodzieńca. W tym promienistym obliczu Ngoc Tam rozpoznał ducha opiekuńczego medycyny, podróżującego po świecie na swej górze Thien Thai, aby uczyć ludzi mądrości i łagodzić ich cierpienia. Ngoc Tam rzucił się mu do stóp.

Duch rzekł do niego: „Ponieważ znam twoją uczciwość, zatrzymałem swą górę na twojej drodze. Jeśli chcesz, zaliczę cię do swoich uczniów”.

Dziękując pokornie Ngoc Tam odpowiedział jednak, że

Ostrość gwoźdźcia w stopach  
Przywołaną z pamięci kroplę potu  
jak szczyptę soli  
biore za metaforę do wiersza  
Z pióra  
wyrwanego sobie ze skrzydła  
ani jedno słowo nie grzęźnie w brudzie jałowej kratki  
pod którą na globie z węgla ziemi i skały  
rozkraczony przez pokolenie  
mój herb rodowy  
stół

Kim jestem ja który  
zdarł z siebie skórę  
co jeszcze nie zdążyła się odziać

STANISŁAW STABRO

(Kraków)

### Pokolenie

Jestem wypalonym miastem w którym tylko gruz  
Jestem gwiazdą wystygłą tylko lawa i popiół  
Jestem śliską wnętrzością dawno  
Wygasłej rzeki

Chodź — zrobimy miłość a ktoś o niej zapomni  
Chodź — zrobimy przyjaźń a ktoś strzeli ci w plecy  
Chodź — zrobimy wierność  
A rozsypie się czas

Jestem pustym oknem i pustym pociągami  
Jestem zimnym świtem  
Nad taflą jak śmierć  
Jestem snem którego wciąż  
Nie mogę zapomnieć

DOROTA CHRÓŚCIELEWSKA

(Łódź)

śmiertelna ręka prawa śmiertelny wiersz pisze  
śmiertelna ręka lewa śmiertelną głowę wspiera  
w niebie wśród gwiazd śmiertelnych nagle ptak umiera  
i nieśmiertelny nad nim schyla się Franciszek

żadna rozpacz niestraszna bo każda śmiertelna  
miłość niestraszna bo ją w śmiertelny wiersz wpisze  
a w niebie mój łagodny Bóg stokrocie wacha  
które mu śmiertelny hoduje Franciszek

bunt jest śmiertelny — rozwiązujesz pięść  
i despota śmiertelny więc śmiertelna trwoga  
a w niebie śmiertelny warty kundel Rocha  
nieśmiertelny Franciszek gładzi jego sierść

śmiertelna ręka lewa śmiertelną głowę wspiera  
żadna rozpacz niestraszna i żadne złudzenie  
w śmiertelny wiersz sfrunął i teraz umiera  
placze Franciszek nad mym śmiertelnym zmęczeniem

nie mógłby rozstać się ze swą żoną, nie może prowadzić innego życia od tego, jakie dotąd prowadził ze swą żoną i poprosił go pokornie, by powrócił ją do życia.

Duch odniósł się do niego z całą dobrocią i współczuciem i powiedział: „Dlaczego związałeś się z tym światem zgrzyot, gdzie rzadkie radości są tylko złudą. Cóż za szaleństwo być wiernym istocie słabej, ulotnej. Spełnij wszak twoje życzenie, lecz nie będziesz chyba żałował, jeśli okaże się to daremne.”

Na jego rozkaz Ngoc Tam otworzył trumnę, zaciął się w palec i wylał trzy krople krwi na ciału Nhan Diep. Otworzyła powoli oczy jakby budziła się z głębokiego snu. Szybko odzyskała siły.

„Nie zapomnij o swoich obowiązkach” — upomniał ją duch. „Pamiętaj być oddaną swemu mężowi. Bądźcie oboje szczęśliwi!”

W czasie powrotnej drogi Ngoc Tam wioślował dzień i noc, gdyż chciał być jak najszybciej w domu.

Pewnego dnia wpłynął do przystani dla dokonania zakupów. W czasie jego nieobecności przybiła do brzozy sampana wielka barka i jej właściciel, bogaty kupiec, został głęboko olśniony pięknością Nhan Diep. Zaczął ją bawić, zaprosił na filiżankę herbaty, i jak tylko usiadła w jego barce, kazał podnieść żagle.

Po miesiącu odnalazł Ngoc swą żonę. Lecz przyzwyczaiła się do nowego życia które ją zupełnie zadowalało, toteż odpowiedziała na jego pytanie bez wahania. Po raz pierwszy ujrzał jej prawdziwe oblicze. Natychmiast wyleczył się ze swej miłości i nie żałował już, że ją utracił.

„Jesteś wolna” — powiedział. „Oddaj mi tylko trzy krople, krwi, które przelałem, abyś powróciła do życia, nie chcę, byś zachowała w sobie najmniejszą moją cząstkę.”

Uszczęśliwiona, że tanim kosztem wydobędzie się z opresji, chwyciła szybko nóż i zacięła się w palec. Zaledwie pokazała się krew, straszliwie zbladła i upadła na ziemię. Pospieszono z pomocą: była martwa.

Lecz lekkomyślna kobieta nie miała ochoty rozstać się na zawsze z tym światem.

Zjawiała się pod postacią małego owada i prześladowała uporczywie Ngoc Tama, chcąc mu odebrać trzy krople krwi, które by przywróciły jej postać człowieka. Prześladowała swego dawnego małżonka i bzykała, bzykała o wybaczenie swego postępowania, bzykaniem wyrażała swój żal i skruchę.

Potem nazwano ją „moskito”, i gatunek ten rozmnożył się bardzo ku naszemu utrapieniu.

PRZEŁOŻYŁ:  
STANISŁAW KASZYŃSKI

# Ulrich — człowiek bez właściwości

Tę książkę czytałem dwukrotnie: pierwszy raz w oryginale, drugi — po polsku, jako, że niedawno ukazała się ona na naszym rynku wydawniczym, w przekładzie Krzysztofa Radziwiła, Kazimierza Truchanowskiego i Janiny Zeltzer, z posłowiem Egona Naganowskiego. Powieści Roberta Musil'a „Człowiek bez właściwości” nie towarzyszy tak wielki rozgłos jak „Ulisesowi” Joyce'a, który w tydzień po ukazaniu się zniknął z półek księgarskich. Musil leży sobie spokojnie na wystawach, nikt się za nim nie uganiania, nikt nie rozpowiada o sensacyjności tego, co stworzył pisarz. Osmielego się zauważyć, że powieść Musil'a więcej warta, niż ostatni „Ulises” i z pewnością czytelnik będzie miał większą satysfakcję z jej lektury. Ale do przeczytania „Człowieka bez właściwości” potrzebna jest ogromna cierpliwość. Książka liczy blisko 2000 stron druku i nie można jej „polykać” kartka za kartką, jak romansu. Musil'a czyta się trudno, ale bez oporów. Potrafi on nawet wciągnąć do tego stopnia, że człowiek oderwany do innych zajęć pragnie jak najrychlej powrócić do lektury. Rozliczne są uroki tej prozy, która na dobrą sprawę więcej niesie z sobą eseistyki i refleksji filozoficznej, niż fabuły, do jakiej przyzwyczaili nas powieściowscy klasycy.

Robert Musil zmarł w 1942 roku w Szwajcarii jako emigrant austriacki i dzieła swego nie zdolał doprowadzić do końca. Czwarły tom jest wyborem fragmentów z puściźny pośmiertnej, które dają wgląd w świat propozycji i zamysłów pisarza, nie zrealizowanych w sposób ostateczny w tym głównym dziele jego życia. Ale to, co pisarz stworzył w ciągu kilkunastoletniej pracy nad swoim dziełem, stawia go w rzędzie najwybitniejszych autorów prozy XX-wiecznej — obok Marcela Prousta, Hermana Brocha i Tomasza Manna.

Bohaterem „Człowieka bez właściwości”, jest człowiek bez właściwości imieniem Ulrich. Akcja utworu obejmuje jeden rok: od połowy sierpnia 1913 do połowy sierpnia 1914 roku, a więc do momentu wybuchu pierwszej wojny światowej. Głównym terenem akcji jest Wiedeń, ale czytelnik próżno szukać będzie opisów miasta, jego ulic, domów i placów. Autor zrezygnował prawie całkowicie z opisu świata zewnętrznego. Nie wiemy, jak wyglądają ludzie występujący w jego powieści, jak się ubierają, w jakich mieszkają pokojach, co jedzą. Nie widzimy wiosen, zim i jesieni, nie znamy pejzażu, w którym i na tle którego rozgrywa się wypadki. Bo Musil'a absorbują bez reszty wewnętrzny świat ludzki: uczucia i myśli, przeżycia i zwierzenia, poglądy i rozmowy. Główny bohater, Ulrich, człowiek, który „wziął sobie na jeden rok urlop od życia”, znany nam jedynie z imienia jest jakby projekcją wszystkich swoich możliwości, człowiekiem potencjalnym, kimś, kim mógłby być. Kiedy po latach niewiedzenia spotka się z siostrą Agatą, powie o niej: Istota „namiętnie fragmentaryczna”, podobna do mnie. Ale człowiek bez właściwości to nie znaczy człowiek bez charakteru. Ulrich posiada określone cechy osobowe, jest człowiekiem wykształconym, angażując się w tzw. Akcję Równoległą, pomyślaną jako przeciwdziałanie Austrii w stosunku do poczynąń Rzeszy Niemieckiej, widzi i ocenia postępowanie innych i swoje. Ma silnie rozwinięty zmysł analizy i refleksji. Czego mu brak, to konsekwencji, zapachu, wiary. Ale to jeszcze nie wszystko. Antytezą Ulricha jest Arnheim, niemiecki przemysłowiec, człowiek, któ-

nych możliwości, sensu i celu życia, nawet zawodu, bo ten, który ma, nie daje mu zadowolenia. Matematyk, psycholog i filozof w jednej osobie, ma świadomość że udział w Akcji Równoległej nie daje mu poczucia prawdziwej aktywności. Przeżera ją od wewnątrz sceptycyzm i niewiara, przekonanie o nieskuteczności tego, co robi i w co się angażuje.

Wszelako istotnym — jeśli tak można powiedzieć — bohaterem powieści Musil'a jest kryzys wartości dziewiętnastowiecznych ideałów. Na przykładzie wielonarodowej monarchii austro-węgierskiej ukazał on ogólną niemożność starej Europy, porażonej nihilistycznym bezwładem, która zmierza ku swej nieuchronnej katastrofie. Na nic się zda Akcja Równoległa: przygotowania do obchodu jubileuszu objęcia władzy przez Franciszka Józefa, cesarza pokoju. Brak idei, brak programu — oto, co cechuje tę Akcję. Akcja Równoległa jest zatem symbolem krachu intelektualnego i politycznego, zapowiedzią klęski i upadku. Drobiazgowo analiza i wiwiskacja duchowa bohaterów powieści ukazuje klimat moralny i umysłowy, w jaki zabrnął świat w przededniu pierwszej wojny światowej. „Człowiek bez właściwości” stanowi jakby zapowiedź niebezpieczeństw nadchodzącej cywilizacji, która produkować będzie ludzi odinwaldualizowanych, standardowych, ludzi, którzy zatracą będą coraz bardziej własną osobowość.

Osobny rozdział to styl powieści. Na pozór nieefektywny, prawie monotony. W rzeczy samej styl bardzo dojrzały, głęboki, przepełniony spokojną mądrością. Robert Musil, jak każdy pisarz wybitny, rozsiadł na kartach swego dzieła wiele cennych uwag i spostrzeżeń, wzbogacających filozoficzną warstwę „Człowieka bez właściwości”. Z powieści tej można by sporządzić wypis znakomitych cytatów. Oto kilka z nich dla przykładu: „Każdy postęp przynosi zysk w szczegółach, ale rozszarpa całość” (tom I, str. 191), „Stale przebywanie w dobrze zorganizowanym państwie ma w sobie coś upiornego” (tom I, str. 195), „Często w twórczości intelektualnej nie grube księgi, ale właśnie krótkie rozprawy stanowią dumę ich autorów” (tom I, str. 309), „Czy nie wiesz, że każde doskonale życie oznacza śmierć sztuki?” (tom II, str. 47). Cały duży artykuł dałoby się zapisać samymi cytatami, pełnymi błyskotliwości, ironii, filozoficznej „prydmunki” nad życiem i działalnością człowieka.

Przekład zawiera kilka drobnych potknięć, które nie wadzą na całość. Tłumacze dokonali wielkiego trudu, za który należy im się wdzięczność. Przecież dzięki nim tysiące czytelników w naszym kraju będzie mogło poznać wybitny utwór Roberta Musil'a.

Robert Musil: „CZŁOWIEK BEZ WŁAŚCIWOŚCI”, 4 tomy, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1971, cena 180 zł.



ry wprowadzić wie dokładnie, czego chce, lecz jest jakby jednowymiarowy, pozbawiony dalszych możliwości intelektualnych. Wydaje się, że w „Człowieku bez właściwości” pełne imiona i nazwiska noszą postacie dokładnie obrysowane, co bynajmniej nie oznacza, że wybitne. Są to po prostu ludzie o możliwościach zamkniętych, już wyczerpanych. Gdy tymczasem Ulrich wciąż szuka swoich włas-

## XI Kaliskie Spotkania Teatralne



Jury XI Kaliskich Spotkań Teatralnych pod przewodnictwem Bohdana Korzeniewskiego oceniło osiem spektakli teatru zawodowego i trzy spektakle teatru niezawodowego i postanowiło przyznać:

w grupie przedstawień teatru zawodowego

— dwie równorzędne nagrody —

— Jerzemu Grzegorzewskiemu za reżyserię i dekorację „Czajki” Antoniego Czechowa w Teatrze im. Stefana Jaracza w Łodzi

— Maciejowi Prusowi za reżyserię „Szewców” Stanisława Ignacego Witkiewicza w Teatrze im. Wojciecha Bogusławskiego w Kaliszu.

Ponadto przyznano wyróżnienia:

— Romanowi Kordzińskiemu za inscenizację i reżyserię „Kordiana” Juliusza Słowackiego w Teatrze Polskim w Poznaniu

— Łukaszowi Burnatowi za scenografię do „Szewców” Stanisława Ignacego Witkiewicza w Teatrze im. Wojciecha Bogusławskiego w Kaliszu

— Henrykowi Regimowiczowi za scenografię „Kordiana” Juliusza Słowackiego w Teatrze Polskim w Poznaniu

— Januszowi Michałowskiemu za rolę Sajatana Tempo w „Szewcach” Stanisława Ignacego Witkiewicza w Teatrze im. Wojciecha Bogusławskiego

— Ewie Mirowskiej za rolę Maszy w „Czajce” Antoniego Czechowa w Teatrze im. Stefana Jaracza w Łodzi

Jury przyznało również specjalne wyróżnienia dla młodych aktorów:

— Halinie Eabonarskiej za rolę Barbary w „Nocach i dniach” wg Marii Dąbrowskiej w Teatrze im. Wojciecha Bogusławskiego w Kaliszu

— Grażynie Marzec za rolę Niny Zariecznej w „Czajce” Antoniego Czechowa w Teatrze im. Stefana Jaracza w Łodzi

— Henrykowi Talarowi za rolę Czeladnika Drugiego w „Szewcach” Stanisława Ignacego Witkiewicza w Teatrze im. Wojciecha Bogusławskiego w Kaliszu — nagroda Zarządu Głównego SPATF.

W grupie przedstawień teatru niezawodowego jury XI Kaliskich Spotkań Teatralnych przyznało dwie nagrody w postaci obrazów:

— Zespołowi Teatru „STU” w Krakowie za przedstawienie „Spadanie” i Zespołowi Studenckiego Teatru z Wrocławia „Kalambur” za przedstawienie „W rytmie słońca”.

## Przeszłość i terażniejszość

„Rozpatrywano go już jako demona i jako żołnierza, próbowano — jako polityka. Wydaje się, że największe byłoby spojrzeć na niego nareszcie jako na... człowieka, człowieka zaplątanego wraz ze swym oddziałem w początki rzeczywistości wojennej i okupacyjnej”. MIROSLAW DERECKI w niewielkiej książeczce „Trochę o majorze „Hubala” (Wyd. Lubelskie, 1971) pokusił się o próbę „odmitologizowania postaci „wścieklego majora” — Henryka Dobrzańskiego — „Hubala”. Urosła już bowiem wokół niego legenda, rozwijająca się co najmniej od czasu ukazania się „Hubalczyków” Wańkowicza, a jej żywotność potwierdza wciąż nasza prasa literacka. Przykładem felieton Tomaszewskiego w 18 numerze tegorocznej „Kultury”. Legenda staje się bodźcem do wypatrywania coraz nowych szczegółów dotyczących fascynującej postaci bohatera, jednocześnie jednak stanowi podatną glebę dla powstawania i upowszechniania się różnych

dalszych mitów, jak choćby o działalności organizacyjnej „Oddziału Zbrojnej Polskiej na Kielecczyźnie i jej rzekomego dowódcy por. „Grzmota”, który po prostu — jak tego dowodzi Derecki w oparciu o informacje uzyskane ze ZBoWiD — wpisali się w bohaterską legendę i ustawił się w niej „w atrakcyjnej roli”.

Zamysł skonfrontowania legendy z rzeczywistością jest zawsze pożądanym. Do podstawowych zadań historii należy odmitologizowanie obrazu przeszłości, niezależnie od tego, czy owe mity są nam bliskie, czy dalekie. Demitologizacja obrazu świata jest koniecznym warunkiem jego obiektywnego poglądu nie tylko w nauce, ale i — jeżeli nie przede wszystkim — w życiu społecznym w ogóle. Zbyt dobrze wiemy, ile kosztuje branie pozorów bądź pobożnych życzeń za rzeczywistość, do jakich może prowadzić skutków. Demitologizacja jest jednak — nie tylko w historii — zabiegiem niezmiernie trudnym i po-

tykali się tu nieraz najwięksi. Trudnym nie tylko dlatego, że legenda nie byłaby sobą, gdyby nie miała swych wyznawców, a dojrzenie prawdy w nią spowitej wymaga wyostrego skalpela badawczego, znacznej dojrzałości intelektualnej i precyzyjnego warsztatu. Zgodnie z dialektycznym mechanizmem życia społecznego funkcjonująca społeczna legenda rodzi w kręgach, które z tych czy innych

wypowiedziach w głośniejszych przed laty dyskusji o „bohaterach”.

Derecki stara się być maksymalnie obiektywny. Legendzie przeciwstawia rzeczowe argumenty zaczerpnięte z relacji wiarygodnych świadków. Pisze o niepowodzeniach wojskowej kariery majora Dobrzańskiego w okresie międzywojennym, o jego sukcesach sportowych. Wreszcie następuje rok trzyczęsty dziewiąty: przyszły

kontynuować walkę, wreszcie jak ją prowadzi do końca. Nie było pośmiertnego hołdu generała von Blaskowitza dla polskiego bohatera, były natomiast zdjęcia żołnierzy 372 dywizji Wehrmachtu, pozujących nad zwłokami majora 30 kwietnia 1940 r. Bezpodstawne są oskarżenia, że partyzantka Hubala pociągnęła za sobą śmierć setek niewinnych ludzi, którzy zginęli w niemieckich akcjach pacyfikacyjnych.

Czy jednak pomimo to wszystko autor nie ulega w jakimś stopniu, nieświadomie dla siebie, wspomnianej antylegendzie? Pytanie takie zdaje się być uzasadnione gdy czytamy, jak Derecki doszukuje się w postawie majora we wrześniu 1939 r. motywów wprost egoistycznych („Nareszcie on jest górą. A gdy już raz uchwycił się tej swojej ostatniej szansy, nie wypuścił jej łatwo z rąk.”), gdy śledzi jego osobiste kompleksy, które bardziej niż rozsądek miały kierować jego poczynaniami, gdy go oskarża o brak szerszych horyzontów dlatego, że wierzył we francuską ofensywę, pomawia o swoistą „teoretyczną ekwilibrystykę”, między wierszami zdaje się sugerować,

## Legenda majora Hubala

względów jej nie akceptują, swoistą antylegendę, tak samo zmitologizowaną, tylko w odmienny sposób, i częściej obudowaną autorytetem demitologizacji. Tak jest też z legendą majora „Hubala”: wątkowi, u którego narodzin leżą Wańkowiczowi „Hubalczy” towarzyszy wątek opozycyjny, który zaznaczył się już w publikacji Ryszarda Matuszewskiego, a wystąpił z całą jasnością, odstawiając przy tym swoją jednostronność, w niektórych

„Hubal” jest zastępcą dowódcy 110 pułku ulanów, podąża na pomoc Warszawie, przejmuje dowództwo nad pułkiem kiedy jego zwierzchnik postanawia go rozwiązać, podejmuje walkę z Niemcami. Autor pokazuje, jak komplikująca się rzeczywistość poczyna piąć przed majorem nieoczekiwane trudności, jak dochodzi do tego, że wbrew rozkazowi Komendy Głównej ZWZ postanawia nie rzucić mundu-  
ru i wraz ze swymi ludźmi

że byłoby sensowniej, gdyby Hubal zdecydował się raczej na likwidację „całego przedsięwzięcia”, wreszcie powiada, że majora zapatrywania na przyszłość były wielce mgliste i zgola egoistyczne: „wyjedzie być może do Nocy i zająć się rozsadnym pędzeniem bimbru bądź handlowaniem walutą? Mimo całego bezrozsądku był w jego postępowaniu przecież jakiś głębszy rozsądek. „Dopiero w wiele lat później — pisze Derecki — zrozumiemo, że jego „święte szaleństwo” było po prostu odruchem gorącego patriotyzmu narodu, który w tamtych warunkach mógł się wyrazić właśnie w działalności jednostki”.

Był jednak chyba w tym jakiś rozsądek, że ktoś nie potrzebował tych „wielu lat”, by to zrozumieć.

JÓZEF GRZELAK

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI

## „KSIĄDZ MAREK” I ZADŻUMIENI

Dziwne rzeczy dzieją się w teatrze. Dawne dobre czasy, kiedy człowiek zasiadał wygodnie w fotelu i poddawał się bez większego wysiłku ze swej strony czarowi scenicznego świata, wydają się należeć bezpowrotnie do przeszłości. Każdy ambitniejszy spektakl wymaga dziś od widza intelektualnej współpracy, jawi się przed nim ucieleśnieniem jak szarada do rozwiązania.

Co więcej, rozwiązań takiej szarady może być wiele. Bodaż tyle, ile widzów na widowni. Reżyser spektaklu gromadzi środki wyrazowe, którymi potem atakuje każdego z nas, prowokuje do samodzielnego procesu myślowego, niczego nie ułatwiając, ale i niczego w sposób ostateczny nie narzucając. Dlatego i recenzent nie powinien — moim zdaniem — stawiać kropkę nad „i”, ani przypisywać sobie monopolu na jedyne właściwe odczytanie sensu przedstawienia. W recenzjach teatralnych coraz rzadziej przychodzi nam zastanawiać się nad tym, „co autor chciał przez to powiedzieć”, a coraz częściej nad tym — co chciał nam powiedzieć reżyser.

W przypadku „Księdza Marka” zacząć trzeba zresztą od ustalenia ojcostwa, czyli od stwierdzenia, komu właściwie przysługują miano autora: Słowackiemu, czy Bordowiczowi? Pośrednio odpowiada na to pytanie plakat teatralny, informujący, że przedstawienie przygotowane „według dramatu Juliusza Słowackiego”. Nie chodzi więc o transmisyję „Księdza Marka” w kształcie, jaki mu nadał Słowacki, ale o nowy kształt, kształt sceniczny, którego pomysł zrodził się u Bordowicza w wyniku lektury dramatu.

Literacki materiał przedstawienia nie ogranicza się jednak do tekstu Słowackiego. Bordowicz wprowadził doń na zasadzie opozycji wybrane fragmenty powieści Jean-Paula Marata „Przygody młodego hrabiego Potowskiego, romansu serca”. Drapieżna, bezli-

tna wręcz ocena sytuacji politycznej i społecznej Polski w dobie konfederacji barskiej dokonana przez przyszłego przywódcę sankiulotów w Wielkiej Rewolucji Francuskiej zderza się w spektaklu Bordowicza z mglistym, poetyckim tekstem Słowackiego zgrzytliwie.

Tę symbiozę dwóch pozornie niespójnych materiałów literackich obudował reżyser bogactwem teatralnych znaków, ujął w piętrowo cudzysłowy, których oddziaływanie nakłada się na siebie, strukturalizuje i komplikuje wymowę poszczególnych scen. Stała niemal obecność postaci Marata przemawiającego słowami własnej powieści — to jakby pierwszy cudzysłów nie zezwalający nam zaangażować się w pełni w tok dramatu Słowackiego. Słowa komentarza gaszą płomienie porwy, obdzierają tekst z poetyckiego patosu.

Gdy milknie Marat-komentator, inny cudzysłów daje znać o sobie. Bordowicz lokuje bowiem całość akcji „Księdza Marka” w szpitalu, w którym leżą chorzy na dżumę. Nikłej sugestii dla tego pomysłu inscenizatorskiego doszukać się można w tekście Słowackiego. Akt III dramatu rozpoczyna się od następującej informacji w didaskaliach autorstwa: „Plac w Barze... Wchodzi Kosakowski, ubrany jak sługa szpitala w zadżumionych, w smolnej koszuli, w kapturze”. Chodzi więc o skojarzenie bardzo swobodne.

Z drugiej strony nasuwa się pewna wtórność pomysłu Bordowicza w stosunku do sztuki Petera Weissa „Męczeństwo i śmierć Jean-Paula Marata...”. Tam dramat Marata odgrywa rolę pensjonariusze szpitala wariatów w Charenton pod Paryżem, kierowani przez całkowicie zdrowego na umyśle, perwersyjnego markiza de Sade. U Bordowicza nie ma wprawdzie dosłownego teatru w teatrze, ale cały tekst Słowackiego zmienia się w bezładne majaczenia w malignie zadżumionych.



Scena zbiorowa

Fot. Fr. Myszkowski

Marszałek konfederacji, Regimentarz, zdradca Branecki, generał Kreczetnikow i wszyscy inni, bosi, w lachmanach przypominających zaledwie delie, złotogłowa i mundury — to zadżumieni. Gdy tylko któraś z postaci podniesie głos w zapamiętaniu, lub wykona ruch gwałtowniejszy, natychmiast obezwładniają ją siostry zakonne, spełniające rolę personelu szpitalnego, to znów katów biczących księdza Marka. Nie dziwnego; u chorych w gorące zaciera się granica między przemocą stosowaną przez pielęgniarki a wszelkim uciskiem i gwałtem.

Nie na tym jednak koniec cudzysłowom. Niezmienny element plastyczny sceny stanowi wielka rama obrazu, z której wylewa się jakby spłot ciała aktorskich, raz wibrujący konwulsyjnie, to znów krzepnący w bezruchu niczym na płótnie historycznego malarstwa. A zatem nowy ciąg skojarzeń, tym razem nie literackich, lecz plastycznych, zrytmizowanych zmianami światła z zastosowaniem kolorowych filtrów.

W tej powodzi środków wyrazowych i pomysłów inscenizacyjnych zaczyna gubić się jednak klarowność ideowa przedstawienia. Sarkazm Marata brzmi wprawdzie serio, ale cudzysłowy, w które ujmuje Bordowicz z natury swej niejasny i mistyczny dramat Słowackiego, stosowane w nadmiarze i różnokierunkowo, zmieniają miejscami spektakl w bezkształtną magmę, która przestaje służyć przekazowi jakichkolwiek treści. Dystansowanie się od poruszanych w „Księdzu Marku” spraw absorbuje reżysera do tego stopnia, że staje się ono celem samo w sobie.

W ten sposób rozrachunek z politycznym i społecznym rozkładem szlacheckiej Rzeczypospolitej rozpiął się w strumieniu niezrozumiałstwa, gubi w nawarstwionych treściach, utyka na bezdrożach nadmiernie eksponowanej sprawy Rabina i Judyty.

Kiedy ów niepokojący i bezwzględnie uroklivy potok obrazów scenicznych spływa wreszcie do jednoznacznej, racjonalnej

konkluzji wypowiedzianej przez Pułaskiego...:

Ten lud, widzę, cały chory,  
Wszędy, gdzie oczami skinie,  
Widzi ogień i upiory;  
A ja wszędy w tej krainie  
Widzę jedną wielką bliźnię,  
Jedną moją cierpiącą Ojczyznę!

...widz opuszcza teatr poruszony i wzburzony. Może to dosyć, jeśli chodzi o ekspresję sceniczną, ale zbyt mało współczesnej wypowiedzi tam, gdzie rzecz odciera się o elementarne sprawy naszego narodu. Mamy więc patrzeć na nie wyłącznie oczyma Marata, wielkiego wprowadzającego o nowy ład społeczny, ale przecież doktrynera i cudzoziemca?

W przedstawieniu swym uruchomił Bordowicz wielką machinę, cały arsenał różnorodnych sygnałów — chwilami aż przytłaczający. Do gry tej wciągnięty został niemal cały zespół Teatru Powszechnego. Aktorzy spełniają przy tym rolę jakby instrumentów w orkiestrze. Tylko nielicznym dał reżyser szansę wyróżnienia się solowym występem. Jerzy Przybylski (Marat) z wielką kulturą wyodrębnił się programowo z tonacji całego przedstawienia. Bogdan Wiśniewski (Ksiądz Marek), Włodzimierz Skoczylas (Rabin), Jadwiga Siennicka (Judyta III), Janusz Kubicki (Kosakowski), Ryszard Sobolewski (Kreczetnikow), Zbigniew Niewczas (Branecki) i Lucjan Wiernek (Kazimierz Pułaski) noszą główny ciężar zadań aktorskich w tym trudnym i dla odbiorców i dla wykonawców przedstawieniu.

• ☆ •

PREMIERA „KSIĘDZA MARKA” ZBIĘGŁA SIĘ Z JUBILEUSZEM XXV-LECIA PAŃSTWOWEGO TEATRU Powszechnego. TA NIEROZERWALNIE ZWIĄZANA Z ŁODZIĄ SCENA WNIOŚŁA WIELKI WKŁAD W KRZEWIENIE KULTURY TEATRALNEJ W NASZYM MIEŚCIE I W WYCHOWANIE NOWEGO WIDZA Z OKAZJI JUBILEUSZU „ODGŁOSZ” DOŁĄCZAJĄ SIĘ DO NAJSERDECZNIEJSZYCH GRATULACJI DLA ZESPOŁU I DYREKCJI PTP.

\*) Państwowy Teatr Powszechny „Ksiądz Marek” według dramatu Juliusza Słowackiego; opracowanie dramatyczne i reżyseria — Maciej Z. Bordowicz; scenografia — Iwona Zaborowska; opracowanie muzyczne — Bogdan Pawłowski; asystent reżysera — Bogdan Kopciowski; układ pantomim — Bogdan Głuszczyk. Premiera — 8 maja 1971.

## CZY KRYZYS UCZUĆ?

W DYSKUSJI „CZY KRYZYS UCZUĆ?” UDZIAŁ BIORĄ: IRENA WOJDYŚLAWSKA — ADIUNKT KLINIKI PSYCHIATRYCZNEJ AM W ŁODZI, MARIA HORBACZEWSKA — ADIUNKT PAŃSTWOWEJ WYŻSZEJ SZKOŁY SZTUK PLASTYCZNYCH W ŁODZI, ANDRZEJ WOJCIESZEK — PRACOWNIK NAUKOWY INSTYTUTU FILOZOFII UL, RYSZARD KRASILEWICZ — KIEROWNIK PRZYCHODNI ZDROWIA PSYCHICZNEGO „PALMA”, HENRYK KLUBA — REŻYSER FILMOWY. DYSKUSJĘ PROWADZIŁ I OPRACOWAŁ RED. ANDRZEJ WOJCIECHOWSKI

A. WOJCIECHOWSKI: Nasza rozmowa ma dotyczyć spraw dyskutowanych już wielokrotnie. Proponuję bowiem zastanowić się jaki wpływ wywiera zautomatyzowanie i pośpiech naszego życia w drugiej połowie XX wieku na to, co potocznie nazywa się miłością. Bo równocześnie obserwujemy w życiu społecznym podporządkowanie się przyjętej konwencji zachowań. Ludzie XX wieku nie lubią, czy może nie potrafią, otwierać się przed innymi ludźmi. Może się wręcz boją?

Fakt, że np. w Ameryce wydaje się książki z gotowymi wzorami listów miłosnych, w moim pojęciu mającymi zastąpić romantyczną pieśń kochanka z gitarą pod oknem

ukochanej, może nie oznaczać wcale, że ludzie są leniwi i nie chcą im się myśleć ani działać.

H. KLUBA: Uczucie miłości, począwszy od wieku młodzieńczego, na wieku dojrzałym skończywszy, stanowi dla człowieka nieprzerwane pasmo strat. Zarówno dla mężczyzny jak i dla kobiety. Na przykład pierwsza młodzieńcza miłość. Zazwyczaj przeżywa się ją najsilniej. I co z tego wszystkiego zostaje? Nic. Jest gorzka ironia, bowiem miłość intensyfikując człowieka w stopniu maksymalnym, nie daje mu na resztę życia nawet zaświadczenia „ku pamięci”. Myślę, że dziś prawie nikt nie jest w stanie przeżyć tzw. wielkiej miłości. Nie wiem,

co jest przyczyną, ale sądzę, że jest ich wiele. Może jesteśmy za wygodni, może za leniwi, może zbyt zapracowani. Fakt, że o miłości możemy sobie tylko pomarzyć lub poglądnąć ją w kinie. Niestety.

Twierdząc, że w społeczeństwie naszych czasów autentyczne uczucie miłości jest człowiekowi nieprzydatne. Wytrąca z rytmu, jaki narzuca człowiekowi tempo czasów. Tym samym wielkie uczucie, jak już powiedziałem, jest trudne do zrealizowania.

A. WOJCIESZEK: Jeśli popatrzymy w starożytność, to zjawisko miłości, zwłaszcza u Epikura, jawi się jako uczucie, którego mędrzec nie powinien uprawiać, albowiem rodzi ono kłopoty, nie pozwala filozofowi swobodnie myśleć, angażuje w stosunki z kobietą, co Epikur uważa za działanie niewłaściwe, niepożądane, rozprasające.

W innych okresach historycznych poglądy na miłość odpowiednio się zmieniały. Co to oznacza? Oznacza to, że wszelkie dyskusowanie na temat miłości należy rozpatrywać w powiązaniu ze świadomością społeczną i kulturą, w jakiej żyjemy. Nie ulega wątpliwości, że naszą świadomość determinuje chrześcijaństwo, a w szczególności kultura katolicka. W związku z tym model uczucia, ukształtowany przez zależność: człowiek — Bóg, określał postawy ludzi. Nie jestem pewny, czy można mówić o kryzysie uczucia, ale wydaje mi się, że w naszej roz-

mowie nie jest ważne, czym miłość jest, natomiast ważne jest jak to uczucie funkcjonuje w społeczeństwie, jak wpływa na zachowanie się człowieka i jego stosunek do otoczenia, do partnera.

M. HORBACZEWSKA: Czy jest konstruktywny, czy destruktywny?

H. KLUBA: Wydaje mi się, że nie można przydatności miłości określić u siebie samego. Jeśli prześwieltimy pod tym kątem społeczeństwa o wysokim stopniu cywilizacji, to stwierdzimy, że sprawy miłości są tak przytłoczone różnymi obowiązkami, stałym brakiem czasu, że wygospodarowanie czasu na miłość rozumianą jako uczucie silne i wielkie, jest zbyt kosztowne. Staje się tym samym mało realne. Mimo woli pieniądź dyktuje człowiekowi stopień nasilenia uczucia. Najczęściej wręcz wyklucza, lub podaje w tak małej dawce, że nie można uznać go za uczucie dla człowieka dominujące, twórcze, budujące. Być może my, Słowianie, będziemy starali opierać się wpływom takiego modelu miłości, uznając, że dla nas miłość romantyczna jest właśnie tym uczuciem, o jakie chodzi, ale mimo wszystko cywilizacja dopędza i nas. Tym bardziej, że przecież nam samym najbardziej zależy, żeby nas dopędziła. Oznacza to niewątpliwie dobrobyt dla ciała. Ale czy też dla ducha?

M. HORBACZEWSKA: Chciałabym wrócić do określenia „przydatność

miłości”. Wydaje mi się, że życie tyle jest warte, na ile jest przeżyte. Trudno prowadzić kalkule, ile tracimy zagłębiając się w uczucie. Jeśli człowiek nie ma możliwości w ciągu swojego życia wspiąć się na wysoki pulap doznań uczuciowych, to, moim zdaniem, jego życie nie jest wiele warte. Nawet jeśli w konsekwencji osiągnięcia tego pulapu nastąpi katastrofa w dalszej jego egzystencji. Będzie to jednak katastrofa po czymś. Kiedyś pewien Japończyk wyjaśnił mi problem samobójstwa w jego narodzie. Są w zasadzie dwa powody do samobójstwa: honor i szczyt szczęścia. Kiedy człowiek zdaje sobie sprawę, że osiągnął stan, którego nigdy więcej nie osiągnie, to w tym momencie popelnia samobójstwo.

(Głos z sali:) Zobaczycie Neapol i umrzeć?

M. HORBACZEWSKA: To byłoby zbyt płaskie traktowanie życia człowieka. Ale można się zgodzić, że każdy człowiek ma swój Neapol i jeśli istnieje, nazwijmy go, Neapol miłości, jeśli się doń w ciągu życia nie weszło, to znaczy, że życie minęło nam bez większych znaczeń i doznań.

A. WOJCIECHOWSKI: Czy wobec tego postawy młodych ludzi, jakie mamy okazję obserwować codziennie w kawiarniach, na ulicy, na zabawach młodzieżowych, wyrażające się demonstracyjnym brakiem zain-



# Czarodzieje

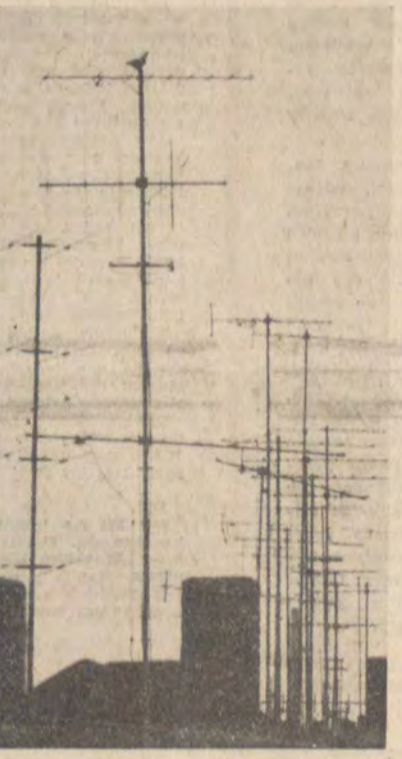
Dalszy ciąg ze str. 5

ten Popelina może zrobić mu dużo przykrości. A tak jeśli się go zbliżuje to zapomni o starych dziejach, bo będzie wdzięczny Jagielskiemu. I wówczas Jagielski powiedział, że Ryska Popeliny narzeczona wpadła podobno wiece ty, Marczyku, powiesz, że to ty zrobiłeś. No i jego kochanka Dylewska poszła do Popeliny i powiedziała, że była w tym sklepie gdzie aresztowano jego narzeczona i że widziała, że to nie jego narzeczona popelina to przestępstwo tylko młody chłopiec, który mieszka w domkach magistrackich i wskazała mój adres. Oprócz tego ja jeszcze zrobiłem takie czynności, jak zeznałem na Komendzie, od tej pory Popelina był wdzięczny Dylewskiej i Jagielskiemu.

Jagielski za to wziął mnie na włamanie 8. II 1970 r. on wszystko zrobił a ja stałem tylko na lipku, tak było na wszystkich włamaniach (zn. 22 lutego, 29 marca do „Jubitera” Jagielski wszystko zrobił w razie czego gdyby milicja nakryła nas to miałem mówić, że to ja wszystko robiłem. Na początku kwietnia 1970 r. kiedy byłem u Jagielskiego obliczaliśmy wszystkie zegarki była również też Dylewska Genowefa, która wszystkie te zegarki miała sprzedać w Bytomiu w tym właśnie momencie zaczął walić do drzwi Popelina, krzyczał żeby go wpuścić, my natomiast zachowywaliśmy się jak gdyby nikogo nie było. Ale Popelina widocznie stłuszył nasze głosy i zaczął szarpać drzwi, aż wyrwał z „Luznika”, wpadł jak szalencie i chciał ład Dylewską i Jagielskiego, krzyczał wówczas „Ach wy oszuści i mordercy, już teraz z wami skończcie oszukaliście mnie, że ten chłopak popełnił przestępstwo a Ankę wypuszczają, a to stało się odwrotnie Anka dostała wyrok”.

Ale Jagielski i Dylewska zaczęli tłumaczyć Popelinie, żeby się nie denerwowała bo na sprawie rewizyjnej na pewno wyjdzie. Wówczas jakos się Popelina uspokoił i powiedział, jak nie wyjdzie to ja już z wami zatawie. Popelina widział te wszystkie zegarki bo nie zdążył ich Jagielski schować. Po jakimś czasie wyszedł z domu Jagielskiego, a Jagielski i Dylewska powiedzieli „mamy do niego pecha, musimy się go pozbyć”. Jagielski wtedy powiedział do mnie: słuchaj Marek w razie wpadki to nie mów, że byłeś z mną tylko mów, że byłeś z Popeliną na wszystkich włamaniach, które ci udowodnią, Jagielski w razie tej ewentualności miał wziąć mi adwokatów i dać mi pomoc oraz po wyjściu z więzienia dużą gotówkę pieniędzy. Myśleliśmy jak to zrobić, żeby upłynić te zegarki z „Jubitera”. Wówczas Jagielski i Dylewska wzięli te wszystkie zegarki i pojechali do Bytomia sprzedać. W dniu 3 kwietnia Jagielski przyjechał z Dylewską, dali mi za

te zegarki sumę 5.000 tysięcy złotych byli też bardzo zdenerwowani i powiedzieli, że trzeba koniecznie Popelinę zlikwidować, bo szpiegował ich i widział ich w Katowicach na rynku, jak sprzedawali zegarki. Popelina był wówczas z jakąś dziewczyną blondynką. Ja powiedziałem Jagielskiemu, że takich rzeczy to ja nie zrobię, żeby kogoś zabić wówczas Jagielski odpowiedział, że to konieczne bo Popelina za dużo o nas wie, ale ja kategorię odmówiłem mu. Wówczas Jagielski powiedział, że wymyślił jakiś inny plan. Później dokonaliśmy z Jagielskim włamania przez mieszkanie Pietrzaków, 16 maja 1970 roku, wszystko zrobił Jagielski, ja stałem na lipku. Następnego włamania dokonaliśmy już we trzech tj. w dniu 22 maja 1970 r. był wtedy T. Jagielski, M. Sałaciński i ja. Po włamaniu zaraz w sklepie Jagielski wybrał co najlepsze, a resztę zegarków kazał żebyśmy zaniesli i schowali u Popeliny w komórce i mieliśmy tam schować narzędzia. Jagielski kazał nam żebyśmy nie zacierali po sobie śladów, tak żeby pies milicyjny zaprowadził nas do Popeliny za to mieliśmy otrzymać od Jagielskiego po 20 tys. złotych. Wtedy Jagielski powiedział, że to jest najlepszy sposób, żeby zlikwidować Popelinę. Jagielski poszedł zaraz do domu. A ja z Sałacińskim poszedłem wykonać polecenie Jagielskiego, lecz stało się inaczej,



gdy u Popeliny paliło się światło i byli jacyś goście. Ja stałem przy rurtce, Sałaciński poszedł podzucić te zegarki i lomy, lecz widocznie Sałaciński źle wykonywał polecenie Jagielskiego, gdyż Sałaciński był pod wpływem alkoholu i Popelina zobaczył go i wyskoczył z siekierą do niego. Sałaciński zdążył rzucić lomy, natomiast zegarki miał przy sobie i zaczęliśmy uciekać obaj. Sałaciński powiedział do mnie, że to jest jakaś brudna afera i lepiej z tym się nie brudzić i powziął decyzję, że sprzeda zegarki na Bazarach a Jagielskiego oszuka i powie, że wykonał jego polecenie. Resztę Wysoki Sąd już wie na podstawie akt, zn. został aresztowany Sałaciński i ja. Fajzwywie pomówiliśmy Popelinę, że on miał dokonywać z nami tych włamań. Zamiasł Popeliny na wszystkich włamaniach był z nami Jagielski Tadeusz. Jagielski Tadeusz był hersztem i to on do tego nas namówił, on otwierał wszystkie zamki, to on urywał wszystkie klódki i to on wybijał otwory w murze. Przy „Jubiterze” była również Dylewska na lipku i na innych włamaniach również.

Ja miałem z tego wszystkiego tylko 7 tys. złotych, a resztę zabrali Jagielski i Dylewska. Przeklinałem, Wysoki Sądzie, tę chwilę, kiedy poznałem Jagielskiego i Dylewską, przez nich teraz męczę się w więzieniu i dlatego wyjaśniam całą prawdę.

Gdyż nie chcę brać na siebie przestępstw, które oni popełnili.

★ ★ ★

To jeszcze nie koniec karkołomnej kombinacji. Z kolei Rusiecki prokuror Marianowi Sałacińskiemu gryps w formie listu do Tadeusza Jagielskiego. Poleca Sałacińskiemu wyrzucić gryps z celi w ten sposób, by wpadł on w ręce strażników więziennych. Rzecz się udaje, gryps faktycznie przejmują władze więzienne i przekazują go prokuraturze.

Oto jego treść:  
Tadziu! Natychmiast uciekaj, bo chyba Cię wsadzą do więzienia. Wpadka ze wszystkim. Wyobraź sobie, że ten szczeniak Marek komuś się zwierzył pod ciałem i opowiedział wszystko tak jak było, że ty z nami robiliś te roboty, a Popelinę wsadziłem na lewo. Jakis sk... ułożył mi zeznania i namówił tego gumonia, żeby mówił prawdę, mało tego, jeszcze napisał mu zeznania, w których opisuje prawdę z detalami. Tadziu, sp... i to w dobrą dziurę, aby Cię nie złapali. Ja już ci nie mogę pomóc. I tak zrobiłeś za dużo. Jak chcesz wiedzieć, to ten szczeniak Marek załamał się już na Sienkiewicza przy konfrontacji z Popeliną i zeznał, że nie było go z nami na tej robocie. Dopiero ja z Twoją Gienką zaczęliśmy go op... przez okno, to pod koniec sierpnia poszedł do śledczego i zeznał tak jak sobie Ty tego życzyłeś. Tadziu, ten gryps co w grudniu napisałeś w sądzie to ten człowiek Tadek Noga mi go doręczył. Ty bez przerwy obiecujesz złote góry, ale jak do tej pory to nie dotrzymujesz przyrzeczeń. Przecież wiesz, że nie mam rodziców, jeść i palić mi brak. Wpocześnie nie zaniedbywać swoich powinno-

ści, tym bardziej, że siedzę za Twoją robotą. Palcem nie ruszyłem ani grosza zysku, a siedzieć muszę. Nie gniewaj się na mnie, że na zakończenie śledztwa zmieniłem zeznania i nie pomawiam Popelinę, bo to już nie miało sensu. Bo ten główniarz Marek rozgadywał po całej Stokowskiej, że wsadziłem niewinnie Popelinę. Tym bardziej, że zlamana się też Twoja Gienka i nie pomawia Popelinę. Cóż, Tadziu, sp... bo Marek w Sadzie będzie zeznawał prawdę, trzymaj się, Tadziu Marian S.

Satański plan się nie udał, ponieważ — czego nie przewidział Rusiecki — wszystkie grypsy trafiły do prokuratora, Zbigniewa Plichoty, który oskarżał w tym procesie. Ale na tym nie koniec epistolarno-grypsowej działalności Rusieckiego. Na stole sędziowskim znalazł się również gryps, w którym Rusiecki prosi swego

swagry o znalezienie mu fałszywych świadków. „Henio! — ustaw mi dobre słupów... poszukaj mi też jakichś słupów na szesnastego. „Słup” w złodziejskim żargonie oznacza świadka. Parę takich „słupów” przewinęło się przez sąłę sądowną. Jeden z nich zgodził się nawet w swej gorliwości na doprowadzenie rogów. Zeznawał, że widział, jak w dniu włamania jego żona zabawiła się z Rusieckim.

Wyobraźmy sobie, co mogłoby się stać, gdyby nie czujność strażników więziennych, o których się właściwie nigdy nie wspomina w sądowych sprawozdaniach.

P.S.

Bronił oskarżonego mec. Leon Kopczyński — wschodząca gwiazda palestry łódzkiej.

KAROL BADZIAK

## Granice krytyki

Po napisaniu recenzji z drugiego tomu „Listów” Tomasza Manna, pewien profesor zarzucił mi, że nie zachowałem należytego dystansu wobec tematu. Czyli, innymi słowy, że osmieliłem się skrytykować wybitnego pisarza, jakim jest autor „Czarodziejskiej Góry”. Od kiedy to wielkość chroni pisarza (i w ogóle kogokolwiek) od popełniania błędów. General de Gaulle był wybitnym mężem stanu, a jakże go we Francji krytykowano, zarzucając mu wiele rozmaitych przewin. Czy z tego wynika, że krytykujący zawsze mieli rację, a krytykowany nigdy jej nie miał? Uchwyćmy Boże. Wynika z tego tylko to jedno: prawo krytyki przysługuje każdemu, a krytykować można również tych, co siedzą na tronie.

Otóż nie podoba mi się, że Tomasz Mann wypowiedział się z przekąsem i, moim zdaniem, niesłusznie, o Józefie Conradzie. Nie podoba mi się, że nie poświęcił on w swoich wypowiedziach i listach ani jednego słowa napaści hitlerowskiej na Polskę w 1939 roku i wybuchowi powstania warszawskiego. W powstaniu warszawskim zginęło 250 tysięcy ludzi, wróg stał z powierzchni ziemi wielkie milionowe miasto i wyda-

wałoby się, że tak wybitny pisarz i humanista jak Tomasz Mann, w dodatku przedstawiciel innych, lepszych Niemiec, winien znaleźć słowa zrozumienia dla losu polskiego i słowa potępienia dla zbrodni hitlerowskich.

Pogląd mój (podzielany zresztą przez wielu ludzi) nie ma nic wspólnego z megalomanią narodową, z polonocentryzmem i tym podobnymi rzeczami. I do dziś nie rozumiem, co tak obruszyło mojego polemistę. Czy może nie wykazałem dość elegancji w swojej, raczej ostrożnej krytyce, obwarowanej wieloma pochwałami, na jakie ponad wszelkie wątpliwości Tomasz Mann całkowicie sobie zasłużył.

Czy mój szanowny antagonistą nie czytał nigdy ostrych i nie przebiegających w środkach ataków? Czy krytycznie o Tomasz Manna może się wypowiedzieć jedynie jakiś inny Tomasz Mann? Mnie się wydaje, że może to zrobić każdy, nawet ktoś zupełnie nieznan, rzecz sprowadza się do tego, czy ta krytyka jest słuszna. Tabu w krytyce bardzo nam już kiedyś zaskodziło. Czy mamy znowu stwarzać tamy krytyce i swobodnej wymianie myśli?

JAN KOPROWSKI

teresowania, przeżyć uczuciowych, należy traktować jako pozę, maskę, chęć udowodnienia otoczeniu swojej nowoczesności?

**M. HORBACZEWSKA:** Rzeczywiście, człowiek jest sterroryzowany otaczającymi go przedmiotami. Praca, która w zasadzie winna stanowić sposób zdobycia środków utrzymania, staje się często głównym jego celem. Tym samym eliminuje, lub ogranicza miejsce na miłość. Jesteśmy stale dopingowani przez warunki, w jakich żyjemy, gonimy za wiedzą, zdobyciem pozycji społecznej, tak, że w końcu zatracamy cel życia, jakim niewątpliwie są przeżycia uczuciowe. To jest niebezpieczeństwo, które cały czas nam grozi.

**H. KLUBA:** Kiedy właściwie możemy z całą pewnością stwierdzić, że owdława nami uczucie miłości? Nie ma przecież żadnego instrumentu, który by nas mógł o tym upewnić. I mimo całej mojej tęsknoty za przeżyciem wielkiej miłości, stwierdzam, że w napięciach, jakim ulegamy codziennie, trudno jest uchwycić moment trafności, tym bardziej, że znajdujemy się w takiej fazie rozwoju, że, niestety, często musimy zjawiska, jakim podlegamy, oceniać pod kątem przydatności dla naszego rozwoju i odpowiednio je eliminować. Boimy się przy tym cały czas, aby nie popełnić błędów w wyborze. Wolimy stabilizację od niepewnej romantyki,

**A. WOJCIESZEK:** Rozumiem to tak: współczesny człowiek jest cały czas nastawiony na efektywność swoich zachowań i uczuć i wskutek tej postawy pewne uczucia eliminuje lub ogranicza, ponieważ nie ma kryterium, czy to uczucie pozwala mu lepiej żyć, a sądzi, że ono może mu przeszkadzać.

**I. WOJDYSŁAWSKA:** Nie ulega dla mnie wątpliwości, że tęsknota za chęcią przeżycia wielkiej miłości istnieje w każdym człowieku. Jestem skłonna zgodzić się, że pokolenie 45-latków jest w gorszej sytuacji niż młodzież. Przeżywamy bowiem życie, goniąc za pozycją w społeczeństwie, mieszkaniem, samochodem itp. Przy tym boimy się cały czas, czy zdążymy osiągnąć upragniony stan posiadania zanim opadnie z sił. Natomiast nie sądzę, żeby można ten pogląd zastosować do pokolenia naszych dzieci. Mają one łatwiejszy start, niż my mieliśmy. Oczywiście czas dziś płynie szybciej, ale każdy młody człowiek żyje z przeświadczeniem, że na którymś tam zakręcie życia spotka wielkie uczucie, jakim jest miłość. I oczekują tego z wielką niecierpliwością. Czy boją się, że miłości nie spotkają? Myślę, że się boją. Starsze pokolenie może łatwiej ocenić, czy się coś w jego życiu wydarzało, czy nie.

**H. KLUBA:** Mam wrażenie, że ruch hippiesowski jest dowodem niewiary w przeżycie wielkiej mi-

łości. Hippiesi tworząc „komuny miłości” demonstrują przeciwko terrorowi mechanizmów, terrorowi presji społeczno-ekonomicznych, buntują się przeciwko modelowi obowiązującemu w społeczeństwie atomowym. Należy chyba hippiesów traktować jako obronę człowieka przed normami, jakie dyktuje społeczeństwo naszego wieku.

**I. WOJDYSŁAWSKA:** Istotnie jest to obrona. Ale czy skuteczna? Spotykałam hippiesów w mojej praktyce. Są to ludzie, którzy znaleźli się w sytuacji krytycznej. Rzucili studia, rodziny, wprowadzili się do jakiegoś zamku, aby po pewnym czasie zdać sobie sprawę, że to nie jest rozwiązanie. Należy ich traktować wobec tego, jako uciekinierów od życia. Na szczęście u nas nie jest to zjawisko powszechne.

**R. KRASILEWICZ:** Człowiek broni się przed samotnością. I lek przed samotnością jest jednym z podstawowych motorów ludzkich zachowań i momentów motywacyjnych. Niewątpliwie jesteśmy zagubieni w ogromnym gąszczu przedmiotów, pojęć, symboli, natłoku informacji. Jesteśmy zagubieni w tendencji polepszania standardu, w kumulacji rzeczy i tytułów. Stąd też wypływa nasza nieautentyczność. Rozmawiamy między sobą w srodowiskach formalnych w sposób nieautentyczny, bronimy się ciągle przed ukazaniem siebie samych. Jest to jeden z podstawowych pro-

blemów psychologii naszych czasów. Stąd też zarzut, jaki stawiamy pokoleniu dzisiejszej młodzieży, że żyje, że się bawi w sposób nieautentyczny. Pracuje w środowisku młodzieżowym, studenckim. W poczekalni mojego gabinetu siedzi na przykład dwudziestu młodych ludzi. Są ożywieni. Rozmawiają o rzeczach nieistotnych. Natomiast wchodząc do gabinetu lekarza zaczynają żalić się, jacy to oni są samotni, jak nie umieją nawiązać kontaktu z innymi ludźmi, jacy są zagubieni w tym świecie. Wychodząc z gabinetu natychmiast „usztynniają się”, wkraczają w konwencję otoczenia. Kontynuują przyjętą grę. Stają się „samotnymi w tłumie”. Pewnego razu rozmawiałem z młodym człowiekiem, który miał na uczelni opinię największego „podrywacza”. Okazało się, że nie miał jeszcze nigdy dziewczyny i jego jedynym marzeniem jest mieć kogoś. Chciałby, żeby coś wydarzyło się naprawdę, przeżył wielką, romantyczną miłość. Wydaje mi się, że tendencje, jakie w tym przedmiocie drzemają w człowieku, są takie same w odniesieniu do nas, naszych dziadków, rodziców, jak i naszych dzieci. Żyjemy, po prostu, w określonych kręgach kulturowych, które determinują model postępowania.

**A. WOJCIESZEK:** Wydaje się, że ponieważ żyjemy w epoce stałych lęków...

**R. KRASILEWICZ:** ...i te lęki w miarę postępu cywilizacji nasilają

się i, jak można się spodziewać, będą się jeszcze bardziej nasilały...

**A. WOJCIESZEK:** ...uczucie likwidujące choćby na chwilę ten lek należy uznać za prawdziwe i potrzebne. W tym przypadku będzie to miłość.

**R. KRASILEWICZ:** Chodził nam w życiu o takiego drugiego człowieka, do którego będziemy mieli pełne zaufanie. Pojęcie „moja dziewczyna” będzie pojęciem autentycznym, jeśli rzeczywiście będzie to „moja dziewczyna”.

**A. WOJCIESZEK:** Istnieje jednak druga strona zagadnienia. Jeśli przyjmujemy, że miłość znosi uczucie lęku, to odwrotnie — uczucie lęku może zahamować poszukiwania miłości. Powstawanie lęku zależy m. in. od tego, w jakim stopniu sfera wartości obyczajowych, moralnych itp. określonej grupy społecznej jest trwała w świadomości tej grupy. Jeśli sfera wartości jest trwała, to grupa ta będzie miała mniejsze poczucie zagrożenia i łatwiej pojawią się tam wszelkie uczucia. Natomiast, jeśli sfera wartości podlega nieustannym zmianom, lub wahaniom, zagrożenie będzie wzrastało. Na przykład: ponieważ średniowiecze charakteryzowało się mniejszą mobilnością niż wiek XX, w naszych czasach okres trwania miłości musi być krótszy, niż w średniowieczu. Dziś chcemy za szybko zatłumaczyć zbyt wiele spraw za jednym zamachem.

BALLADA O ZUCHWAŁYCH

Redakcja Popularnonaukowa Telewizji nadała 18 maja program filmowy pt. „Opowieść o bitwie pod Monte Cassino”. Film zrealizował w łódzkiej WFO Jerzy Passendorfer, operatorem był Mieczysław Vogt i Janusz Czecz, a jedynym wykonawcą Melchior Wańkiewicz. Przez 55 minut sędziwy pisarz i król reporterów wojennych był gospodarzem małego ekranu.

Ponad rok temu poświęciłem jeden z Tele-obiektów teległosom pana Melchiora. Nazwałem wówczas swój felieton „Teatr Melchiora Wańkiewicza” i napisałem w nim: „Czułbym się jak w teatrze. Wielki Czarownik potrafi równie skutecznie brać w jasyr nasze dusze swoimi piarstwem, jak i bezpośrednią rozmową. Powiedziałbym, że nie ma wyraźnego przedziału między tym co Wańkiewicz pisze i tym, co mówi. To jakby naturalny dalszy ciąg, w równym stopniu nasycony osobowością pisarza”.

Dziś, po obejrzeniu „Opowieści o bitwie pod Monte Cassino”, chciałoby się powtórzyć te słowa. Film pomyślany został bardzo prosto, niemal ascetycznie. Nie użyto kronikalnych materiałów filmowych, tylko trochę ikonografii. Stronę wizualną oparto na Wańkiewicz sam na sam z mapą okolic Monte Cassino.

Rzecz dotyczyła sławnej bitwy, która w świadomości Polaków obrosła już w mit, stała się symbolem ofiarności, patriotyzmu i pogardy śmierci. Z jej przebiegiem łączą się w wyobraźni szerokie obrazy epickie wtopione w groźne piękno skalistego krajobrazu. Wymagania nasze są zatem niemożliwe.

I oto sprostą miał im samotny wobec kamery słwy człowiek, którego zadaniem było oddzielić nas swymi wspomnieniami. Jego twarz, oczy, rece, głos wystarczył nam miły jako przybliżenie i weryfikacja historycznych wydarzeń sprzed dwudziestu siedmiu lat.

Wańkiewicz wyszedł z tej próby zwycięsko. Dysponował tylko słowem, które jakże zawodne jest w precyzyjnym przekazie skomplikowanej struktury życia i w dodatku przekazywał skomplikowaną strukturę życia i w dodatku nie mógł go dopracować tak jak to czyni w swoich ksiązkach pisanych jędrną, lekko archaiczną polszczyzną. Pisarz mówił do kamery słowa w takich układach, jakie mu się pierwsze nasuwały. To była improwizacja.

Ale w tym skłócił właśnie telewizyjny smak programu. Byliśmy świadkami procesu twórczego, goniłmy wyraz i wspomnień, gorączkowego poszukiwania tych wyrazów najwłaściwszych dla oddania temperatury wstrząsów. Następstwo faktów zna Wańkiewicz dobrze. Wystarczy, zda się, by przymknął oczy, a już jawią się widma tamtych krwawych dni, wylaniają się z mroku twarze młodych ludzi, którym nie dane było doczekać zwycięstwa.

Opowiadanie Wańkiewicza miało swą dramaturgię wtórą w stosunku do dramaturgii autentycznych zdarzeń, ale sponiewalanie napięcia, proporcjonalne gospodarowanie czasem emisji, rozkładanie akcentów — to było już niezaprzeczalnie domeną znakomitego narratora. I tak snuła się piękna ballada o uporze, męstwie i pogardzie śmierci, o ludziach, którzy zuchwałym atakiem dokonali rzeczy pozornie niemożliwej.

Jak dobrze, że w opowiadaniu swym nie kusił się Wańkiewicz o pomieszczenie jakichś politycznych, czy strategicznych ocen! Sprzeniewierzyłby się wówczas swojej roli. Roll człowieka, który przy tym był. Był zbyt blisko, by zachować intelektualny dystans. Reporter wojenny przeżywał razem z żołnierzami 5 Kresowej Dywizji Piechoty i 3 Dywizji Strzelców Karpackich i ludzki strach, i ból, i zacieklność, i radość zwycięstwa. Uczucia te ocalił od zapomnienia i przekazał je teraz w telewizyjnym programie nie upiększone, nie zatarte przez upływ czasu, niezmiennie ważne i ścisłające serce.

Stala się dzięki temu rzecz dziwna i wspaniała jednocześnie. Za pośrednictwem Wańkiewicza historia przybliżyła się do nas, zeszała jakby z cokołu pomnika i przemówiła głosem nabrzmiałym wzruszeniem, a przecie prostym, pozbawionym patosu.

Chciałoby się podziękować panu Melchiorowi za ten cudowny wieczór i za to poczucie dumy, że się jest Polakiem, które nas ogarnęło. Ale odpowiedziałby z pewnością, że spełnił tylko swój reporterski obowiązek.

W. O.

P.S. Do TO na temat „Wizyty starszej pani” wkraśli się błąd korektorski. Ostatni akapit winien rozpoczynać się od zdania: „W takim ujęciu sprzeczny wewnętrznie utwor Dürrenmatta stał się rozpaczliwie nienośny”, a nie „nienośny” jak wydrukowano. Niby jedna zbędna literka, a sens całkowicie zniekształcony.

W. O.



MICHAŁ STRZELECKI

OLIMPIADA  
BUSINESS - POLITYKA

Wielkie widowisko sportowe, to nie tylko fizyczne zmagania najlepszych współczesnych gladiatorów, to także wielkie handlowe przedsięwzięcie, nie pozabawione przy tym akcentów politycznych. Te dwa ostatnie czynniki, nie mające nie ze sportem wspólnego, wystąpiły bardzo wyraźnie na 69 Kongresie Międzynarodowego Komitetu Olimpijskiego, który odbył się w ub. roku w Amsterdamie.

Na tym to Kongresie zapadła decyzja o przyznaniu organizacji Olimpiady letniej w 1976 r. miastu Kanadyjskiemu — Montrealowi. Do przetargu, jeżeli można tak powiedzieć, stanęły trzy miasta: Moskwa, Montreal i Los Angeles. W pierwszej turze głosowania za Moskwą padło 28 głosów, za Montrealem — 25 i Los Angeles — 17. Aby zwyciężyć w tym swoistym współzawodnictwie należy otrzy-

mać bezwzględną większość głosów.

Przed przystąpieniem do II tury głosowania zaczęły działać zakulisowe machinacje. Już wcześniej przedstawiciele Montrealu, Los Angeles, a także innych miast ubiegających się o organizację Olimpiady zimowej, zjechali do Amsterdamu z cennymi upominkami rzeczowymi dla członków MKOl i ich rodzin. Teraz doszły względy polityczne. Leclwi dżentelmen z MKOl, b. książęta, baronowie, królowie bez królestw, generałowie i milionerzy, mający przy tym mniejsze lub większe powiązania z międzynarodowym biznesem, nie mogli dopuścić do tego, aby Olimpiada odbyła się w kraju socjalistycznym. To nie, że Moskwa oferowała wyśmienite warunki, to nie, że Związek Radziecki jest pierwszoplanową potęgą sportową w

świecie i ma olbrzymi wkład w rozwój idei olimpijskiej. Anglosaska „maszynka do głosowania” zdecydowała, że w drugim głosowaniu za Montrealem wypowiedziało się 41 członków MKOl, a za Moskwą — 21 (Los Angeles wyczołgało swą kandydaturę, ale za to organizację Olimpiady zimowej przyznano miastu Denver w USA).

W tym czasie, kiedy decydowały się losy przyznania organizacji letnich igrzysk olimpijskich, Montreal praktycznie nie dysponował urządzeniami na miarę tej gigantycznej imprezy sportowej. Kapitałowi kanadyjskiemu, przy pomocy kapitału USA, opłaca się jednak zainwestować setki milionów dolarów w to przedsięwzięcie. Zyski handlowe przekroczą z pewnością znacznie poniesione wydatki. A że Kanadyjczycy nie mają doświadczeń w organizowaniu tak wielkich zawodów sportowych, to już panów z MKOl, ani przedsiębiorców przemysłowo-handlowych i bankierów nie nie obchodził. Olimpiada — to dla nich dodatkowy business w powiązaniu z określonymi celami politycznymi.

Jeden z punktów statutu olimpijskiego mówi wyraźnie o tym, że w sporcie nie wolno dopuszczać do dyskryminacji rasowej. Przez długie, jednak lata ciągnęła się sprawa przynależności rasistowskiej Republiki Południowej Afryki do MKOl. Wreszcie na 69 Kongresie MKOl, wykluczono RPA z tej organizacji. Znamiennie jednak, iż na 67 głosujących członków MKOl, aż 28 było przeciwnych tej decyzji, a 3 wstrzymało się od głosu. Skutki tej decyzji MKOl znalazły obecnie swe polityczne odbicie. Otóż w ub. miesiącu zupełnie nieoczekiwanie władze RPA wydały zezwolenie na wspólne starty białych sportowców z Murzynami. Ba, nawet 3 przedstawiciele murzyńskich organizacji sportowych zaproszono do udziału w pracach Komitetu Olimpijskiego Południowej Afryki. Wypadek bez precedensu w tym kraju, gdzie rasizm stanowi główny fundament polityki wewnętrznej. Ten wyłom w twardej dotychczas przestrzeganej aperturze dla członków MKOl i ich rodzin. Teraz doszły względy polityczne. Leclwi dżentelmen z MKOl, b. książęta, baronowie, królowie bez królestw, generałowie i milionerzy, mający przy tym mniejsze lub większe powiązania z międzynarodowym biznesem, nie mogli dopuścić do tego, aby Olimpiada odbyła się w kraju socjalistycznym. To nie, że Moskwa oferowała wyśmienite warunki, to nie, że Związek Radziecki jest pierwszoplanową potęgą sportową w

świecie i ma olbrzymi wkład w rozwój idei olimpijskiej. Anglosaska „maszynka do głosowania” zdecydowała, że w drugim głosowaniu za Montrealem wypowiedziało się 41 członków MKOl, a za Moskwą — 21 (Los Angeles wyczołgało swą kandydaturę, ale za to organizację Olimpiady zimowej przyznano miastu Denver w USA).

W przyszłym roku igrzyska olimpijskie odbędą się w Monachium. W tym mieście mała dygresja. Warto zwrócić uwagę na fakt, iż po II wojnie światowej organizację 3 letnich Olimpiad i 2 zimowych powierzone b. państwu Osi (Rzym — 1960 r., Tokio — 1964 r., Monachium — 1972 r. i Cortina d'Ampezzo — 1956 oraz Sapporo — 1972 r.), a nie znalazła w MKOl przychylności stolicy państwa radzieckiego.

Monachium jest nie tylko siedziskiem radia „Wolna Europa”, ale także różnych organizacji rewizjonistycznych, których działalność wymierzona jest przede wszystkim przeciwko Polsce i Związkowi Radzieckiemu. Elementy związku przesiedleńców chcą wykorzystać Olimpiadę dla swych rewizjonistycznych celów. Planują oni z tej okazji wydanie antypolskich broszur i ulotek (zresztą robią to i teraz), organizowanie odwetowych wystaw i demonstracji. Przygotowania do tych zamierzeń były m. in. zawody sportowe, jakie odbyły się w Monachium, z udziałem młodzieży, której rodzice zamieszkiwali dawniej na terenach, które po wiekach wróciły do Polski.

Wprawdzie nadburmistrz Monachium, dr H. Vogel, odżegnuje się oficjalnie od poczynania rewizjonistów, nie chce też mieć u siebie skompromitowanej „Wolnej Europy”, ale czy nie są to tylko jego pobożne życzenia? W NRF istnieją znacznie potężniejsze od niego siły, które z pewnością zechcą wykorzystywać Olimpiadę dla swych, dobrze nam znanych, celów politycznych. Postępowa opinia światowa musi stanowczo przeciwdziałać tym próbom, nie dopuścić do tego, aby braterskie spotkanie młodzieży sportowej wszystkich kontynentów stanowiło propagandową okazję dla sił odwetowych w NRF i całej światowej reakcji.

EWA NURCZYŃSKA

FILM

Z czym do Krakowa?

Dorocznym świętem krótkiego metrażu jest Krakowski Festiwal Filmów Krótkometrażowych. Wśród wielkiej ilości filmów, reprezentujących wszystkie wytwórnie, a także telewizję, najróżniejsze odmiany gatunkowe, wśród filmów dopuszczonych do konkursu po starannej selekcji, konkurencja wprawdzie wzrasta, lecz za to sam start w konkursie jest już dla filmów dopuszczonych dobrą wizytówką.

Z czym jedzie do Krakowa łódzka Wytwórnia Filmów Oświatowych już wiemy, czy wróci z nagrodami — dowiemy się w czerwcu. Tegoroczny zestaw filmów WFO jest dla kierunków działalności tej wytwórni bardzo reprezentatywny.

„LUDZKIE — NIELUDZKIE” (grafika Leszka Różgi) reżysera T. Stefanika, film nagrodzony na tegorocznym Zakopiańskim Prze-

glądzie Filmów o Sztuce, jest przykładem bardzo twórczej próby znalezienia dla dzieł sztuki właściwych form filmowej ich prezentacji. Uderza w nim harmonia połączeń wszystkich elementów tworzyw, które mieli do dyspozycji twórcy filmu (T. Stefanik i H. Pustkowski). Bardzo sugestywnej filmowej prezentacji niezwyklego świata grafiki Leszka Różgi towarzyszą znakomicie dobrane i interpretowane teksty poetyckie. W dyskretnie prowadzonej i podanej wypowiedzi samego artysty odnajdujemy zwierzenie, które potwierdza słuszność wybranej koncepcji filmu. Różga mówi: „Czuję się więcej poetą niż plastykiem, ale jestem plastykiem”.

W filmie „BYKOWI CHWAŁA” reżyser A. Papuziński i operator S. Śliskowski prezentują twórczość artystyczną i postać Franciszka Starowiejskiego, którego

pseudonim stał się częścią autoironicznego tytułu. Propozycja Papuzińskiego i Śliskowskiego jest swego rodzaju wyzwaniem rzucanym pewnym pokutującym stereotypom filmów, poświęconych ludziom sztuki. W ogromnym stopniu pomógł im w tym eksperymentem bohater filmu. „Bykowi chwala” w niewielkim stopniu eksponuje gotowe prace Starowiejskiego w ich nurcie surrealistycznej wizji, czy plastyce użytkowej, takiej jak plakat, realizatorzy tropią raczej źródła tej twórczości, prezentując z jednej strony ekscentryczną osobowość Starowiejskiego, z drugiej — świat przedmiotów, będący bądź źródłem inspiracji artystycznej, bądź elementami tworzonej prac. Kształt artystyczny filmu, znakomite, kombinowane na wielokrotnych ekspozycjach i przenikaniach zrealizowane zdjęcia Śliskowskiego, dynamiczny, szokujący montaż tworzą niezwykle interesującą filmową propozycję artystyczną.

„RATUSZ GDAŃSKI DNIA 2. IV. 1970 ROKU” przygotowali reżyser J. Żukowska i operator S. Śliskowski kilka lat. Tyle było trzeba czasu, by przedrzeć czas i tok rekonstrukcji jednego z najpiękniejszych zabytków polskiej architektury renesansowej. Jest ten film bodaj najpełniejszym obrazem sztuki rekonstruowania i konserwacji architektonicznej i plastycznej, choć temat ten często pojawiał się już w filmach. Jak w każdym filmie tej pary realizatorskiej, tak i w „Ra-

fuszu Gdańskim” odnajdujemy ciepłą tonację, która zawsze pracuje ich cechuje. Realizatorzy śledzą prace, tropią i charakteryzują ludzi jej oddanych, smakują piękno sztuki, uczą szacunku dla ludzi, którzy ją tworzyli czy odtworzyli. Trochę żartobliwie dodają jednak trzeba, że, jak to bywało i przy innych filmach, chciałoby się z panią Żukowską potargować o kilka metrów taśmy, które z korzyścią dla filmu można by z całości wyciąć.

Film „STANISŁAW WYSPIAŃSKI” S. Sapińskiego jako próba małej, filmowej monografii, wypełnia stałe społeczne zapotrzebowanie na ten typ filmów.

Wszystkie trzy typowo popularnonaukowe pozycje oceniamy głównie według celów dydaktycznych i popularyzatorskich, jakie o ich wartości decydują. A. Jaskólska w „WIRUSACH” i A. Walter w filmie „DLACZEGO KREW KRZEPNIE?” dokonując jasnego wywodu, egemplifikują poruszane problemy przy pomocy najróżniejszych technik animowanych i skomplikowanych, specjalnych technik zdjęciowych. Zjawiska trudne w relacjach i objaśnieniach słownych stają się czytelne i zrozumiałe przy pomocy filmowego obrazu. W filmie „W ŚWIECIE PRÓŻNI” J. Popiel-Popiołka znajdujemy historię badań nad próżnią i wyjaśnienie jej istoty, a także prezentację jej wykorzystania przez współczesną cywilizację. Film podoba się nie tylko dzięki czytelności i czystości, która zawsze

cechuje filmy tego realizatora, ale także dzięki pewnym dowcipom animacyjnym, które wyjaśniają problemy, czynią je również bardziej atrakcyjnymi w odbiorze.

Za tajemniczym tytułem filmu „WIZYTA W BANKU” A. Szczygła kryje się relacja z organizacją i funkcjonowania banku kosztownego, tak niezbędnego dla współczesnej chirurgii. Trochę demoniczny charakter filmu (zwróćmy choćby uwagę na świetne, długie wprowadzające ujęcie (operator B. Dziworski) koncentruje uwagę widza.

„OJCOWIZNA” W. Wasilewskiego z dobrymi zdjęciami S. Mroziuka reprezentuje dość rzadki w działalności WFO gatunek dokumentalny. Realizatorzy pokazują dzieje chłopskiej rodziny, której patriotyzm i przywiązanie do ziemi stanowiło jedną z kart walki o polskość na pograniczu niemieckim. Ciepły i szlachetny w tonie jest udany debiutem reżysera.

Te pozycje obejrzy publiczność w Krakowie, z werdyktem jury zapoznamy się później.



# Kto, co, kiedy?

relacje

niedyskrecje

## ALBRECHT DÜRER

Pięćset lat temu urodził się, jako trzeci spośród osiemnastu dzieci norymberskiego złotnika, Albrecht Dürer, wielki artysta niemiecki rytownik i malarz. Jego ojciec pochodził z Węgier. Wszystkie swe osiemnastoro dzieci pragnął nauczyć złotnictwa, ale wiek dojrzały osiągnęło tylko trzech synów, reszta dzieci umarła. Jeden z synów tylko przejął zawód po ojcu. Albrecht początkowo kształcił się w złotnictwie, co przyda mu się później w jego pracach rytowniczych, ale pragnie być rysownikiem i malarzem. Jako trzynastoletni chłopiec rysuje, swój autoportret a to rysowanie i malowanie własnej postaci pozostanie jednym z zamiłowań przez całe jego życie.

Mając lat 15 Albrecht uczy się rzemiosła malarzkiego, a wówczas rysowanie i malarstwo traktowane były jak rzemiosło, u mistrza norymberskiego

Michała Wolgemutha. W trzy lata później zgodnie z tradycją rzemieślników, wyrusza praktykować w miastach południowoniemieckich. Wraca do Norymbergi w roku 1494, gdzie żeni się z córką bogatego mieszczanina. W latach 1495, później 1505 Dürer odwiedza Włochy, zapoznając się tam z renesansowymi ośrodkami malarstwa. Później, mając lat pięćdziesiąt przez dwa lata przebywa w Niderlandach. Jest już w tym czasie znanym i uznawanym rytownikiem i malarzem, przede wszystkim rytownikiem, gdyż malarstwo interesuje go znacznie mniej, a barwa w jego twórczości nie odgrywa poważniejszej roli. Maluje wprawdzie doskonale portrety wybitnych ludzi swej epoki, lubi pejzaż, który oddaje z niezwykłą dokładnością szczegółów, ale jego zamiłowaniem istotnym pozostaje drzeworytnictwo, miedziorytnictwo i odmiana tego

ostatniego — rytowanie na żelaznych płytach.

Czas w których żył Dürer obfitują w niesłychanie ważne wypadki historycz-



A. Duerer. Autoportret

ne. To za życia Dürera Kolumb odkrywa Amerykę, Vasco de Gama drogą morską dociera do Indii, Mikołaj Kopernik pisze swą epokową pracę „O obrotach ciał niebieskich”, wielki humanista Erazm z Rotterdamu publikuje swe pisma, bracia Turpi i Taxis zakładają pierwszą nowożytną komunikację pocztową. Luter na drzwiach świątyni przybija swe tezy, Niemcy są wstrząsane ruchami chłopskimi, Tomasz Morus publikuje dzieło „Utopia”. Dodajmy jeszcze, że były to czasy kiedy lek przed stale wybuchającą zarazą, wojnami i końcem świata nękał ludzi nie mniej niż dziś nasz lek przed atomową zagładą, rakiem i zawałem serca.

W twórczości Dürera odzwierciedla się ta przełomowa epoka. Jest on człowiekiem swych czasów, artystą późnoniemieckiego gotyku i równocześnie nowej sztuki — Odrodzenia. Ilustrując „Apokalipsę” Dürer przedstawia alegorycznie klęski i nieszczęścia swej własnej ojczyzny. Czasem sięga po tematy refleksyjno-filozoficzne jak słynna „Melancholia” — obraz pełen dziwnej zadumy i wielkiej ekspresji. Oprócz rysunków, obrazów,

drzeworytów, miedziorytów Dürer pozostawił po sobie szereg pism teoretycznych. Napisał podręcznik geometrii, traktat o sztuce obwarowań, „Nauczanie malarstwa”. W tym ostatnim dziele zajmował się proporcjami ludzkiego ciała i przedstawiał swe dwuletnie studia nad perspektywą. Dürer widział ścisły związek między sztuką i nauką, proponował by dwie te dziedziny określał jednym pojęciem „Die Kunst” (sztuka).

Z roku 1498 pochodził jeden z jego najlepszych autoportretów. Artysta przedstawił siebie w bogatym stroju patrycjusza. Z owego malowidła patrzy na nas wyjątkowo piękny mężczyzna o twarzy pełnej wyrazu, pewności siebie, żywych, inteligentnych oczach.

W pięćsetną rocznicę urodzin artysty w obu państwach niemieckich rok Dürerowski obchodzony jest uroczysto, a Norymberga przygotowała na ten jubileusz specjalnie bogaty program artystyczny.

## „MATKA COURAGE” NIE ŻYJE

W wieku lat 71 zmarła Helena Weigel, aktorka, żona Bertolta Brechta, kierowniczka, od czasu śmierci męża, słynnego „Berliner Ensemble”. Jeszcze kilka tygodni temu mieszkający przedmieście paryskich gościł ją wraz z zespołem, gdzie „Berliner Ensemble” grał szereg sztuk Brechta.

Helena Weigel urodziła się w Wiedniu w roku 1900. Bardzo wcześnie przygotowywała się do kariery sceniczonej, ukończyła szkołę dramatyczną w rodzinnym mieście. Występuje później na scenach Frankfurtu nad Menem i Berlina. W roku 1923 poznaje Bertolta Brechta, a w pięć lat potem zostaje jego żoną. Od roku 1933, tj. od czasu dojścia do władzy w Niemczech hitlerowców, zaczyna się w życiu aktorki długi okres pobytu poza krajem. Przebywa w Szwajcarii, Danii, Francji, Stanach Zjednoczonych. W roku 1948 wraca do NRD i wraz z mężem, Brechtem zakłada słynny zespół teatralny. Po śmierci męża w roli aktorki przejmując kierownictwo „Berliner Ensemble”. Od wielu lat występowała w roli matki w sztu-

ce Brechta „Matka Courage i jej dzieci” i w adaptacji sceniczonej „Matki” Gorkiego. Helena Weigel odznaczona była wielokrotnie za swe zasługi w dziedzinie sztuki teatralnej.

## KU CZCI ODÓNA HORVATHA

Na cmentarzu w Saint-Ouen pod Paryżem zebrał się przy grobie dramaturga piszącego w języku niemieckim, Odóna von Horvatha przyjaciele i miłośnicy jego twórczości, by uczcić pamięć tego pisarza w siedemdziesiątą rocznicę jego urodzin. Z inicjatywy Instytutu Austriackiego i Towarzystwa Austriackiego w Paryżu został też zorganizowany Tydzień Pamięci Horvatha.

Odón von Horvath urodził się w roku 1901 w ówczesnym austro-węgierskim Flumie (dziś Rijeka w Ju-

gosławiu) jako syn dyplomaty. Przebywał kolejno w Belgradzie, Budapeszcie, Monachium, Wiedniu, Berlinie. Znany ze swej twórczości antyfaszystowskiej opuszcza Niemcy po dojściu Hitlera do władzy przenosząc się do Austrii. Gdy i tam wkraczają wojska niemieckie Horvath udaje się do Szwajcarii. Stamtąd przyjeżdża często do Paryża. W czasie jednego z takich pobytów zostaje zabity w dniu 1 czerwca 1938 r. podczas burzy na Champs-Élysées przez padające drzewo.

Odón Horvath uważany był w swoim czasie za jednego z najwybitniejszych dramaturgów młodego pokolenia. Pozostawił takżne sztuki jak „Włoskie noce”, „Opowieści z Wiedeńskiego Lasu”, „Wiara, nadzieja i miłość”, „Dzieci naszych czasów”.

## WYSTAWA RZEMIOSŁA ARTYSTYCZNEGO

W Paryżu po raz pierwszy została otwarta wystawa Rzemiosła Artystycznego. Zgrupowano tu wyrobów rzemieślniczych o wybitnych walorach artystycznych, przy czym wystawa jest bardzo różnorodna gdyż dziedziną twórczości rzemieślniczo-artystycznej obejmuje wiele dziedzin takich jak tkactwo,

metaloplastyka, czy koszykarstwo i ceramika oparte na wzorach ludowych oraz biżuteria, przy czym na wystawie pokazano specjalny dział sztucznej biżuterii z nowych materiałów jak np. tworzywa sztuczne. Ponadto eksponowano ciekawe dekoracje i rozwiązania plastyczne ścian i murów przy użyciu rozmaitych surowców jak metal, beton, kamień, glina, płyty stik, drewno itd.



# Bez strachu

TO JEST ŻYCIE...

Kiedy ktoś z mojej rodziny, czy przyjaciół prowaździł mnie do swego domu i uprzedza w czasie drogi, że ma w domu głuchą staruszkę, która nie rozumie. Kiedy siadam w tym domu przy stole, słucham jak z adapteru Sława Przybylska śpiewa o dalekiej skale, na której płoną świeczki ludzkiego losu. Kiedy domownicy podsuwają mi talerze z wędlinami i rzodkiewką i kiedy nieoczekiwanie zabiera głos głucha staruszka, mówiąc: „Bardzo pana przepraszam, że ja jestem głucha i nie mogę konkretnie brać udziału w rozmowie, to bardzo przykre, ale trudno, trzeba umieć różne sprawy przeżywać, mówię to panu dlatego, bo wiem, jak bardzo pan jest zasmucony — to jest życie, trudno...” myślę, że owa staruszka nazwana głuchą, była jedyną słyszącą wśród biesiadników. — To jest życie.

Kiedy jestem w mieście, które dla mnie jest innym miastem, idę po obcym parku, pada wiosenny deszcz. Nakładam na buty filcowe łapcie i lażę po lustrzanych podłogach w tłumie posagów i mimo bliskości Febusa, Aresa i wielu innych bogów jestem sam i wcale nie boski i nie zbawiony. Kiedy spotykam wąż panienkę w fartuchu, która siedzi na krzeselku przy ścianie i strzeże bogów i mocarzy. Kiedy mówię do niej: dlaczego jest pani taka martwiona, przecież nawet bogowie potrzebują pani pomocy. Kiedy panienka mówi do mnie: wiele trzeba z siebie oddać sily, aby skutecznie wspierać bogów — oddalam im wszystko, nie nie zostawiam dla siebie. Widzi pan te kwiaty pod posagami, pod urną z popiołami Kościuszką, one pachną cmentarzem. Kiedy sklaniam się do ręki, by ucałować strażniczkę bogów, to wtedy, mimo zapachu cmentarnych kwiatów — To jest życie.

Kiedy przyjdzie do mnie ten, czy ów, bardzo pragnąc mnie nie rozumieć i powie: nie rozumiem pana, czy to są pana sny, czy też pana jawa — przecież brak tu zupełnie myśli ogólnej, puenty, wszystko na dobrą sprawę jest dowolne, wymienne, brak awangardowej metafory, przestając być młodopolski, nie stał się pan współczesny. Gdzie tu ścisła kompozycja, albo gdzie kształtowanie materiału wyobraźniowego na zasadzie bezkształtu, gdzie tu świadomość nieświadomości, albo nieświadomość świadomości...? Jeżeli więc przyjdzie i tak powie, to jest śmieć.

BERNARD SZTAJNERT



A. Duerer — Tańczący chłopci. Miedzioryt



POLUJĄC NA JASTRZĘBIA — TRAFIĆ JELENIA

PRZYPOPRĘŻONA MARIOLA — ZHAŃBIONE DZIECKO — HENIO ROZBIJE LEB! — FIGLE-MIGLE — OKAZJA ZAWSZE SIĘ ZNAJDZIE — SALONY DYREKTORA — JAK ZYC? — OBJAWY ZAZDROSCI — KTO SIĘ PUSZCZA Z MACKIEM?

„Mackek błyskawicznie orzypoprężył Mariolę i pognał za Sultaniem...” — o tego momentu lektura rewelacyjnej powieści „Polowanie na jastrzębia” zaczęła mnie pasjonować naprawdę. Bo oto rodzą się pytania — co zrobi przypoprężona Mariola i czy Sultana zdola uciec?

Niestety! Dalszy ciąg wczarował. Akcja się toczy w wyższych sferach kierowniczych pewnej stadtyny koni. „Sultana nie uciekał”. (Po cóż wobec tego Mackek za nim pognął?) „Na widok nadbiegającej klaczy podniósł leb i zarżał cicho”. Nawet pozwolił się osiodłać.

Mimo rozczarowania „Polowanie na jastrzębia” stało się moją codzienną lek-

turą, bez której nie mogę sobie wyobrazić ranka, zwłaszcza, że Dni Oświaty, Książki i Prasy do czegoś przecież zobowiązują. Jest to bowiem powieść, w której życie wre i kipi, konie stają dęba i mamy kawał sierniczej Polski i sprawy opowiedziane przasnym językiem.

Mackek — młody inżynier zhańbił Hankę — młodą nauczycielkę. Jak wiadomo, młodzi inżynierowie pasjami lubią hańbić młode nauczycielki. Ale ojciec — gajowy czytywał zapewne w młodości powieści ze sfer wyższych i średnich, więc woła: „Albo się z tobą ożeni, albo zastrzelę jak psa. Niech mu się draniowi nie zdaje, że on inżynier, a ja

prosty gajowy, to już mu wszystko wolno. Nie pozwolę, żeby mi jakiś przybłąda hańbił moje dziecko...”

Zhańbione dziecko spodziewa się dziecka, a — jak powszechnie wiadomo — takie sprawy w latach siedemdziesiątych dwudziestego wieku załatwia się... Jak? Oczywiście krwawą wendettą. Bo Hanka nie jest bezbronna — o niej Hanka ma brata, Henka.

Braciszek Henio zaraz pójdzie — drogie dziewczyno, przepraszam, drodzy czytelnicy — pójdzie do stadniny i rozwali leb inżynierowi. Henio jest dobry braciszek i syn z niego dobry, choć podpada pod bilski już paragraf o pasożytach. Henio pracować nie lubi, ale leb rozwalić — rozwali. Pyta tylko tatula o instrukcję. „Mogę mu leb rozwalić pałą albo łopata. Jak ojciec chce.”

Henio jest sympatyczny i stosunek do ludzi ma życiowy. Ma również pogląd zdrowy na hańbę siostry. „Jakby nie chciała, to by mu nie dała. Przecie jej nie zgwałcił. Ja tam do niego specjalnej pretensji nie mam, ale jak ojciec koniecznie chce, to mu leb rozwalię...”

Uparło się dziecko z tym rozwalaniem lba. Duże to,

silne, za dziwkami lata, a figle-migle mu w głowie. Zupelnie jak temu panu, co to go jeden felietonista w „Kulturze” zaczął, a potem płacił 1000 złotych grzywny za obrazę. Ale Henio nie taki. Henio się nie obraża.

Kiedy się Henio nakochał z Zośką (mężatka, nie karana, mąż w kryminale), rzecze jej: „Nie może być, żebym ja ciebie nie widywał”. A ona: „Przecież mężatka. Czego ty ode mnie chcesz, ty cholerniku”.

Niech się Zośka nie wygłupia, skoro jest mężatka. Jako taka dobrze wie, czego od niej chce Henio, więc niech się nie bawi w kokieterię. Niech powie lepij: „Czasem się w lesie spotkam. Połochasz mnie, Henius, wyściskasz. Jakaś okazja zawsze się znajdzie”.

No, właśnie! Życie jest proste, a okazja zawsze się znajdzie. Jeden pan, co pisze książki kryminalne mówił mi kiedyś, że można napisać powieść z intrygą za pięć groszy, językiem z lat dwudziestych, z fabułą z lat trzydziestych — a wydawca zawsze się znajdzie. Nawet w latach siedemdziesiątych.

Ale z krzaków, gdzie Henio ścisła Zośkę, prze-

nieśmy się do salonów dyrektora stadniny, miotanego uczuciami zazdrości o żonę, która się puszcza z inżynierem Mackiem. Zazdrość objawia się typowo. Dyrektor „schudł, zmierzniał, stracił apetyt, stracił radość życia”. W ten pozornie banalny sposób u-naocznia się nam uniwersalność tego rodzaju doznań. Tak przecież chudli, zmierznieli i traciłi apetyt bohaterowie głośnych dzieł pani Zaryzykiej, Courts-Mahlerowej, nie mówiąc już o pani de domo Radomyskiej.

Nie dziwi więc głębokie, pełne zadumy nad światem pytanie „Jak żyć?”, pytanie, które rzuca czytelnikom jak wyzwanie dyrektor stadniny, ob. Kuczewski. Na pytanie „co zrobić?”, odpowiedzieli nam już klasycy — odkrywczosć pytania „jak żyć?” nie podlega żadnej dyskusji. Odpowiedź bowiem może być tylko jedna — polować na jastrzębia. Albo na jelenie. Niewykluczone zresztą, że polując na jastrzębia można sobie gładko upolować jelenia. Nawet nie jednego — może być ich więcej. Wszystko zależy od tego, ile gazet w Polsce drukuje powieści z kręgowymi stadtynami koni.

JERZY WIDOK

## WSPÓLNICY

(2)

## STRESZCZENIE

Pięciu wspólników: Oscar, Phil, George, Tom i opowiadający tę historię, dokonano napadu na fabrykę opon. Lupem padło ponad 20 tysięcy dolarów. W czasie ucieczki zabity został Phil. Po kilku dniach do wspólników zgłosiła się Alma, żona zabitego, z żądaniem części należnej mężowi. Szef bandy postanowił oddać kobiecie jej pieniądze i autor opowiadania udaje się do kolegów po pieniądzu.

Wyrzucił oczy. — Zartujesz? — Lecz to słowo odnosi się do pieniędzy, a nie do wdowy.

Opowiedziałem mu o wizycie Almy u Oscara.

— Posłuchaj mnie — rzekł wycierając chusteczką pot z czoła — nie wyciągnę z banku ani grosza dla jakiegś tam żony! Muszę myśleć o swojej rodzinie. Czy wiesz, ile mnie kosztują obie córki? Starsza na przyszły rok wybiera się na uniwersytet, muszę bardzo oszczędzać. Jeżeli teraz damy tej kobiecie dwa tysiące, wróci niebawem po następne pieniądze. — To mówiąc uruchomił kosiarkę dając do zrozumienia, że rozmowa zakończona.

Znalazłem Toma było dużo trudniej. Obszedłem kilka barów i spotkałem go dopiero w dziewiątym. Popijał piwo jak zwykle. Usiadłem przy jego stoliku.

— Witaj, John, cieszę się, że cię widzę. Próbowałem przed godziną telefonować do Oscara, lecz gdzie wyszedł. Wyobraź sobie, zjawił się dziś u mnie Brant i zadał mnóstwo pytań. Wie wszystko. Pamiętasz jak w zeszłą środę badaliśmy trasę i wstąpiliśmy niedaleko Jersey na piwo do baru? Jakis szpicel nas widział, jak siedzieliśmy w pięciu przy stoliku. Brant jest spryciarzem, nie ma jednak dowodów, bo już by nas wszystkich zamknął.

Powiedziałem mu o Almie. Tom zamyslił się a potem zapytał: — Czy George dał ci pieniądze?

— Jeszcze nie, ale jestem pewny, że mi je da.

— Wiesz co ci powiem, Johnny? Jak George ci przekaże te pieniądze, to i ja to zrobię! — Tom był zadowolony ze swego pomysłu, znał pasję do pieniędzy naszego wspólnika!

Tak więc po kilku godzinach łazenia miałem w kieszeni tylko tysiąc dolarów, moje i Oscara. Tymczasem mogłem zarnieść Almie chociaż tę sumę, będzie mi wdzięczna i może nastąpi ta wielka pierwsza noc.

Znalazł się pod jej drzwiami usłyszałem głośno grające radio. Zapukałem, lecz nikt mi nie odpowiedział. Nacisnąłem klamkę, drzwi się otworzyły. W saloniku nikogo nie było, słychać było szum wody w łazience. Wylączyłem radio. Chciałem ją uprzedzić o mej wizycie, zbliżyłem się do łazienki i zawołałem przez drzwi: — Alma!

— Teraz wyjdę! — odpowiedziała.

— Co tam mówisz, lalczko? — krzyknął ktoś z sypialni.

— Teraz wyjdę! — Potem nastąpiła cisza, słyszałem tylko bicie mego serca. Poznałem głos mężczyzny!

Alma wyszła z łazienki owinięta na biodrach dużym ręcznikiem. Zrobiła kilka kroków nie zdając sobie sprawy, że człowiek przed radem nie jest tym, który odezwał się z sypialni. To byłem tylko ja... Ja, który śniłem wspaniały sen...

Wolną rękę uniosła aby zakryć piersi, błękitne oczy zasłrzyły się wściekłością. — Co za bezczyny ty! — krzyknęła.

Drzwi sypialni otworzyły się, Oskar zobaczył mnie. Musiałem coś powiedzieć: — Radio tak hałasowało, że nie słyszeliście mojego pukania, no i wszedłem. Nie myślałem, że znajdzie ją w twoim towarzystwie. — To mówiąc skierowałem się ku drzwiom.

— Chwileczkę, Johnny! Mam nadzieję, że nie gniewasz się na mnie? Właściwie poznaliśmy ją razem. Zaprosiłem ją na obiad, żeby porozmawiać o interesach. Muszę także przyznać, że wieczór bardzo... mnie uderzyła jej uroda. Chciałem dowiedzieć się czegoś o niej. Po obiedzie wpadliśmy tutaj na kieliszek whisky, no i... wiesz jak to bywa...

Wyjąłem z kieszeni pieniądze i rzuciłem je na stół. — George i Tom nie chcą brać w tym udziału, został więc tylko nasz tyśiąc.

— Myślę, że nie ma już potrzeby dawać jej cokolwiek, ja

będę płacił za wszystko, Alma zamieszka ze mną. — Przeliczył pieniądze i podał mi moje pięćset dolarów.

— Idę teraz spakować walizki — oznajmiłem.

— O, masz czas, możesz wyprowadzić się jutro. Muszę jeszcze powiedzieć o tym Stell.

Tej nocy spałem w hotelu. Rano o 10 wróciłem do domu Oscara po swoje rzeczy. Zobaczyłem Stellę z walizkami gotowymi do wyjścia. Nie była zmartwiona.

— Kiedy tamta przyjdzie? — zapytałem.

— Chyba dziś wieczorem. Byłam tego pewna już wczoraj, widziałam jak na nią patrzył. Nawet tego nie żałuję, to prawdziwy despot.

Przyniosłem moje walizki do salonu. Stella zapytała: — Johnny, czy ma pan jakieś projekty?

— Nie, żadnego.

— Dzwoniłam do jednej znajomej, jest właścicielką pensjonatu, ma ładne mieszkanie do wynajęcia. Można by tam żyć wygodnie we dwoje.

— Ty i ja? — szepnęłam.

— Jeżelibyś chciał, Johnny...

— Dlaczego by nie? — Wziąłem walizki.

Mieszkałiśmy w pensjonacie od tygodnia, gdy zatelefonował Oscar. Odpowiedziała Stella: — Tak, przyjdziemy chętnie dziś wieczorem. — Położyła słuchawkę.

Byłem niezadowolony. — Skarbie, — rzekła Stella — chcę mu pokazać, że nie jestem zadowolona o tę kobietę. Ty jesteś nieskończenie droższy dla mnie! Dlaczego nie możemy być dalej przyjaciółmi?

— Jak chcesz.

Otworzył nam Oscar. Przywitał się serdecznie i oznajmił, że Alma jest zajęta w kuchni. Stella poszła jej pomagać, a my weszliśmy do salonu. Był tam George i Tom, pili cocktail. — Wygląda tak, jak byśmy planowali napad — zadowolony.

Niedługo weszła Alma niosąc półmisek ze smażoną gęsą, wątróbką i frytkami. Uśmiechnęła się do mnie jak uprzejma pani domu. Za nią szła Stella z biszkoptami.

George siedział przy mnie, obijając się wątróbką. — Widział — rzekł — to jest doskonały sposób, żeby rozbawić Alme. Oszczędzamy nasze pieniądze, a jednocześnie jesteśmy jej pewni. Ty wzięłeś sobie Stellę i wszyscy są zadowoleni!

Bawiono się wesoło, whisky płynęła, lecz ja nie byłem zadowolony. Nigdzie człowiek nie czuje się tak samotny, jak na przyjęciu.

Nagle twarz Toma posiniała, pobiegł do łazienki. Także Stella poczuła się źle. Pożegnaliśmy wszystkich i wróciliśmy do domu. Stella narzekała, że ją palił w żołądku, zataczała się. Wystąpiły objawy zatrucia. Położyłem ją do łóżka, wstrząsały nią dreszcze. Przygotowałem jej



trunek alkaliczny, drgawki ustąpiły.

— Co mi mogło zaszkodzić? — zastanawiała się. — Na obiad nie jedliśmy nic takiego. A może ta wątróbka była zepsuta? Ty nie jadłeś i dobrze się czujesz. Zadzwoń do Oscara i zapytaj jak się czują inni.

Nakręciłem jego numer. Oscar odezwał się słabym głosem.

— Jak się czujecie? — zapytałem.

— Bardziej źle, całą czwórkę boli brzuch. A wy?

— Ja dobrze, lecz Stella zepsuta sobie żołądek. Myślmy, że to od wątróbki, ponieważ ona jadła a ja nie.

— Być może, najgorzej czuje się George. Leży teraz na łóżku w pokoju gościnnym. Tom przed chwilą poszedł do domu. Alma jest także w łóżku. Strasznie pali mnie żołądek. Przepraszam, Alma mnie wola. — Rozłączył się.

O trzeciej w nocy obudził mnie telefon, dzwonił Oscar. — Przyjeżdż do mnie natychmiast! — zawołał.

— Czujesz się gorzej? — Tak samo, lecz George zmarł przed chwilą. Jesteś mi potrzebny!

George leżał na łóżku w ubranu. — Tom przed odejściem przyniósł go tutaj — tłumaczył Oscar. — Myślałem, że śpi, a tymczasem... — Nie — dzwignęła. — Nakręciłem jego numer. Oscar jest pewnie, nie może tu dłużej pozostać. Brant szuka pretekstu, żeby policja się nami zainteresowała.

Spojrzałem na Oscara, twarz miała koloru wosku, ledwo się trzymał na nogach. — Sam tu nie poradzę — sprzeciwiłem się. — Pomogę ci — szepnął.

Wyjąłem z kieszeni George'a klucze od samochodu i podjechałem jego Fordem przed same drzwi służbowe domu. Znieśliśmy dźwigi schodami przeciwpożarowymi i weszliśmy do Forda. Nikt nas nie widział, tak mi się przynajmniej wydawało.

Oscar wrócił na górę, a ja odjechałem ze zwłokami. Gdy znalazłem się w ciemnej ulicy,

pchnąłem samochód na zakreście i pieszo wróciłem do domu.

Stella już wstała, powiedziała mi jej, że byłem u Oscara. — Martwiłem się o nich. Tom i George poszli już sobie, lecz Oscar i Alma są chorzy, jak ty.

Położyłem się do łóżka i obudziłem się dopiero w południe. Stella gospodarzyła w kuchni, przyszła już do siebie całkowicie.

Wieczorem wyszedłem, żeby kupić gazetę. Gdy wróciłem, Brant schodził ze schodów. — Miła kombinacja — rzekł — Johnny połączył się z kobietą Oscara, a Oscar z wdową po Philu.

— Czy pan redaguje rubrykę plotek eleganckiego świata? — Gdyby tak było, opublikowałbym następującą wzmiankę: „Dlaczego przyjaciel Johna Wortha zabija się jednego po drugim?”

Dalszy ciąg nastąpi



Lewym okiem

SIEKAJMY SZPINAK!

Uczestniczyłem kiedyś w otwarciu nowego sklepu, czyli w najnowszym języku: salonu sprzedaży. Mniejsza o branżę. Projektant wnętrza chodził dumny jak paw, za drzwiami i za ogromnymi witrzynami cisnął się tłum ludzi, liczących — i słusznie — na to, że zaraz po otwarciu znajdą w sklepie towar, którego nie znajdują już nigdy później. Projektantowi cmokali z uznania koledzy — plastycy. Salon był efektowny i salomowy, natomiast z trudem mieścił się w pojęciu sklepu, czyli miejsca do handlowania.

Na moją bardzo nieśmiałą uwagę, że zastąpienie lady lekkim stołem spowoduje wciśnięcie tego stołu razem ze sprzedawczynią w ścianę lub w wąski otwór, prowadzący gdzieś do czeluści zasklepowych, w których ukryto towar, plastyk odpowiedział dumnie, że wciąż obrażamy naszą publiczność zbyt złym

o niej mniemaniem i że poza tym — najwyższy czas zacząć tę publiczność wychowywać.

Zaraz po przecięciu wstążki sprzedawczyni zostały zgniecione dokumentnie, rozplakaly się i sprzedaż przerwano, krzycząc coraz energiczniej: nie pchać się! Ludzie, rany boskie!

Była to bardzo dobra lekcja wychowania, chociaż obawiam, się, że plastycy nie wyszli z niej mądrzej i równie niefunkcjonalne „salony” projektują nadal. „Sznuj zieloni!”; „Sznując zieleń — dajesz dowód swej kultury!” — czytamy na tabliczkach, wbitych w ziemię tam, gdzie zasiano trawę. Tabliczki są słuszne i nieodzowne, trzeba wymagać od ludzi elementarnej przyzwoitości czy „kultury”. Ale też chyba nie należy urządzać trawników tak, żeby alejki pomiędzy nimi były skomplikowanym szalosem pomiędzy często odwiedzanymi punktami. Znam na przykład sklep w pewnym bloku, oddzielnym od ulicy trawnikiem. Nie ma takiej siły, żeby spieszący się klient nie poszedł do sklepu na ukos, najkrótszą drogą, tylko starannie okrążył trawnik. Należało po prostu wytyczyć skośną ścieżkę, a potem postawić tabliczkę o kulturze.

Wciąż czytamy idealistyczne apele do mieszkańców bloków, żeby się zachowywali cicho w swych rodzinnych pieleszach, bo bloki są akustyczne i sąsiadom zatruwa się życie. To prawda, apele są słuszne. Prawdą jest, że otepiałe zakute łby, osobniki o porażonych zakończeniach nerwowych, nie rozróżniają już żadnych dźwięków — nie mówiąc o tonach — a żądni wiecznego ogłuszenia, zagłuszania ich wewnętrznej pustki, nastawiają radia i telewizory w mieszkaniach

jak na Stadionach Dziesięciolecia. Z tym trzeba walczyć na wszystkie sposoby, apełowaniem także, choć w skuteczność tego właśnie sposobu już przestaliśmy wierzyć (czy optymistycznie: jeszcze nie zaczęliśmy wierzyć). Prawdą jest, że niestychane nasilenie mody na trzymanie psów spowodowało, że przez całe dnie, cały blok — przynajmniej mój blok — rozbrzmiewa psim wyciem, szczekaniem, ujadaniem i skomieniem. Tu też apele nie wystarczą, psy reagują na apele niewiele chętniej niż ludzie.

To wszystko prawda. Ale bójcie się Boga, te bloki są zbudowane tak, że każdej chwili wiem o wszystkich rozstrojach żołądka w kamienicy, słyszę zwyyczajną — nie szepem, ale i nie krzykiem — rozmowę z dołu, z góry i z boku, że ćwiczenie gam na pianinie lub skrzypcach staje się torturą dla całego domu. Nie zgadzam się z apelem o zaniechanie ćwiczenia gam! Nie zgadzam się, żeby w domu trzeba było chodzić na paluszkach, wstrzymując oddech, rozmawiając szepem, nie siekając kotletów i szpinaku, nie włączając odkurzacza. Kulturalne zachowanie jest na pewno absolutną koniecznością, ale też taką samą koniecznością jest zastosowanie izolacji, które by pozwoliły poczuć się w domu jak w domu.

Nie przesadzajmy w poglądzie, że każde warunki są dobre, jeśli ludzie się do nich dostosują. Trzeba też te warunki zbliżyć do realnych możliwości i wymagań ludzkich i możliwości te oraz wymagania — gdzie się da — honorować. Na pewno się da przy projektowaniu „salonów”, trawników i bloków mieszkalnych.

CWIĘK